

Dorothea Benton Frank

Czar miłości

Przełożyła Anna Kłosiewicz

Część pierwsza

Dwudziesty trzeci grudnia

Za czasów mojej młodości cudowne święta Bożego Narodzenia obchodzono zupełnie inaczej niż obecnie. Oczywiście jestem wiekowa niczym Matuzalem. Mam dziewięćdziesiąt trzy lata. Kiedy dziś rano wstawałam z łóżka, każda kosteczka mojego ciała protestowała ze zgrzytem podobnym do tego, który wydają poluzowane deski frontowych schodów naszego starego domu. Potraficie sobie wyobrazić, jak to jest, przeżyć tyle lat? Aż trudno uwierzyć, że sama tego dokonałam. Ale to prawda. W końcu zamieniłam się w zgrzybiałą babuleńkę. Chociaż o wiele bardziej wolę uchodzić za majątną wdowę, stylową starszą panią z Murray Boulevard, dzielnie broniącą się przed zdziecinnieniem. Tak naprawdę jeśli niedołęstwo i zamieniający człowieka w warzywo uwiad starczy nie dopadły mnie w ciągu dziewięćdziesięciu trzech lat, mam chyba spore szanse na stanięcie przed obliczem Pana bez większego uszczerbku na ciele i umyśle. Alleluja! Jeszcze jedno błogosławieństwo!

No cóż, świat bez wątpienia bardzo się zmienił, ale wiele ważnych jego spraw wciąż pozostaje takich samych. Ostatecznie jako rodowici mieszkańcy Charlestonu, jesteśmy samozwańczymi strażnikami wszelkich wartych ocalenia tradycji. Na przykład mamy rok 2006, a ja nadal mieszkam w swoim rodzinnym domu, podobnie jak niegdyś moja matka i babka. A przed nimi pewnie i prababka. Niestety, tu akurat pamięć mnie zawodzi. W każdym razie istotne jest to, że nigdy się stąd nie wyprowadziłam. Czemu miałabym to robić?

Niestety, dom nie jest już w tak doskonałej kondycji jak dawniej. Wszystko, poczynając od tynków aż po rury, wymaga napraw. Nie chodzi o to, że moje dzieci czy wnuki nie byłyby w stanie zgromadzić wystarczającej sumy, by rozprawić się z tymi pęknięciami i zaciekami – po prostu nikogo z nich nie obchodzi, jak ten stan zaniedbania ocenić może ktoś z zewnątrz. Tylko który mieszkaniec Charlestonu nie dba już o to, co powiedzą inni? Obawiam się, że po prostu niemrawy leń. Serce boli mnie na samą myśl o tym. Nasz dom zasługuje na lepsze traktowanie.

Jak w każdej okazałej klasycystycznej rezydencji Południa wzdłuż frontowego portyku ciągnie się rząd masywnych białych korynckich kolumn. Fundamenty i posadzka portyku powstały z ręcznie wyrabianych cegieł, z których wzniesiono również większość ścian, natomiast moi rodzice dodali mnóstwo swoich ulubionych elementów kutyh – poręczy, balkonów i tak dalej.

Każde pokolenie – to znaczy każde aż do tej pory – dokonywało jakichś zmian i przeróbek, nadając domowi i całej posiadłości nowy charakter. Mój wkład stanowiło zamówienie bramy, którą wykonał osobiście największy mistrz kowalstwa w Charlestonie, sam Phillip Simmons! Tak, tak, nie zmyślam. Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy zjawił się ze swoimi ludźmi, żeby zamontować ją w murze okalającym dom. Jest naprawdę wspaniała, niczym koronka z czarnego żelaza, z misternie rzeźbionymi czaplami śnieżnymi, zamkniętymi w owalu pośrodku każdego skrzydła. Mistrz przyniósł też niewielką tabliczkę ze swoim nazwiskiem – P. SIMMONS i poprosił o zgodę na jej umieszczenie u dołu bramy. Powiedziałam mu wtedy: „Proszę bardzo, panie Simmons, w końcu jest pan prawdziwym artystą!”. I tak właśnie zrobił.

Dziedziniec otaczają magnolie i dęby wirginijskie z zielonymi festonami mchu hiszpańskiego, w ogrodzie za domem pyszną się stare jak świat krzewy azalii i kamelii.

Większość rozwiązań krajobrazowych wywodzi się z tego samego okresu co główny budynek, poza kilkoma elementami utraconymi z powodu huraganów, chorób czy też wizyt nieproszonych gości, jeśli wiecie, co mam na myśli. Oczywiście od frontu rośnie figowiec pnący, który pleni się tak mocno, że za każdym razem, kiedy na niego patrzę, mam ochotę złapać za sekator. Szczerze? Wszystko tutaj potrzebuje przycięcia i nowej warstwy farby.

Ale nie będę się nad tym dłużej rozwodzić. Cóż mogę poradzić w sprawie remontów i napraw, kiedy moje życie dotarło już do punktu, w którym stałam się praktycznie gościem we własnym domu? Obawiam się, że niewiele. Choć mimo wszystko staram się nie tracić pozytywnego nastawienia do świata.

Jestem w trakcie przygotowań do świąt Bożego Narodzenia, które mam spędzić ze swoją ukochaną córką Barbarą, jej dziećmi i ich rodzinami. Zęby przybliżyć wam nasze drzewo genealogiczne, Barbara i jej mąż Cleland, oboje już po sześćdziesiątce, mieszkają razem ze mną, a ich dorosłe dzieci mają już własne dzieci i domy w Atlancie oraz Charlotte. Trochę mi wstyd, ale szczerze mówiąc, cieszę się z takiego rozwiązania, bo, niech Bóg ma ich w swojej opiece, to wyjątkowo swarliwa gromadka. Tak, to prawda, chociaż oczywiście nie chcę tu być złośliwa.

Może zainteresuje was też sposób, w jaki dom oponuje przeciwko ich obecności. Za każdym razem, kiedy cała moja rodzina zbiera się pod jego dachem, ściany zaczynają trzeszczeć, żyrandole na parterze mrugać jak szalone, a wszystkie portrety nagle okazują się wisieć krzywo na swoich haczykach. Bo, sami rozumiecie, wraz z żyjącymi przybywają tu też zmarli. Oczywiście, że nasz dom jest nawiedzony. I to jeszcze jak. Albo po prostu osiada. A może jedno i drugie. Nigdy nie miałam co do tego pewności, ponieważ całe Charleston, a szczególnie jego część położona na samym krańcu cypla, gdzie mieszkamy, powstało na podmokłym gruncie. Za to z okna mojej sypialni roztacza się widok na Fort Sumter. Świadomość tego, co reprezentuje sobą ta potężna forteca, daje mi siłę, by stawić im wszystkim czoło.

Jedyne, co mogę zrobić, to cmokać sobie z dezaprobatą przez cały boży dzień. I mam ku temu powody. Boże Narodzenie winno być czasem wielkiej radości. Niestety, rodzina Barbary zawsze czyni z tych świąt tak żałosne widowisko, że w ostatecznym rozrachunku działa to na mnie straszliwie przygnębiająco. Na obronę swojej córki muszę jednak powiedzieć, że w tym wieku nie jest już ona w stanie zdziałać nic więcej, a reszta rodziny kompletnie nie ma o świętowaniu pojęcia. Obawiam się jednak, że nikt poza mną nie dostrzeże nic złego w równie niedbałym sposobie przygotowywania rodzinnych uroczystości. Nie chciałabym oceniać ich zbyt surowo, ale mam nieodparte wrażenie, że moi najbliżsi pozwolili, aby prawdziwy duch Bożego Narodzenia zginął pod nawałą przejawów krzykliwej komercji. A mogłabym im podpowiedzieć tyle cudownych sposobów na wskrzeszenie pięknej przeszłości. Zresztą nawet próbowałam, ale kto by tam słuchał takiej głupiej staruchy jak ja? Obawiam się, że jest już za późno. Kiedy zamknę oczy na wieki, cała ta skarbnica wiedzy, jak wieść naprawdę wartościowe życie, umrze razem ze mną.

Chodzi o to, że oni uważają swoje wysiłki za wystarczające. Chcecie znać moją opinię? Z całą pewnością nie robią dla siebie nawzajem nic choćby w najmniejszym stopniu

przypominającego te wszystkie wspaniałe rzeczy, które pamiętam z przeszłości. Może jestem dla nich zbyt surowa, ale w ogóle nie dostrzegam u nich przedświątecznego podekscytowania. W ich planach Boże Narodzenie stało się jedynie kłopotliwym obowiązkiem. Wszędzie tylko pośpiech, pośpiech, pośpiech!

Wiem, że miałam wyjątkowe szczęście. W czasach mojego dzieciństwa, które przypadło na początek dwudziestego wieku, oboje z bratem wierzyliśmy, że w okresie świąt wszystko, ale to dosłownie wszystko, jest możliwe. Boże Narodzenie było pełne magii. Nie da się tego określić inaczej czy lepiej.

Wyobraźcie no sobie: ja, brat i nasi rodzice mieszkaliśmy w tym domu razem z dziadkami dlatego, że oni tego chcieli. Nie kłamię, tak właśnie było! Na dodatek żyliśmy w zgodzie. No, przynajmniej przez większość czasu. Z rzadka zdarzało mi się chwytać wybiegającego z domu ojca za rękaw i pytać, czy jest zły. W takich sytuacjach tata zwykł ścierać brwi, zaprzeczać i dodawać, że zaraz wróci, po prostu musi wpaść na momencik do pubu, żeby wybić swojemu przyjacielowi z głowy pomysł wypicia kolejnego drinka. Och, jej! Ze też jeszcze pamiętam ten jego sprytny sposób wyrażania swojego niezadowolenia! Chociaż ojciec w ogóle rzadko wdawał się w spory. Nikt z nas tego nie robił. Harmonia naprawdę stanowiła normę. Czemu? Muszę przyznać, że wielka w tym zasługa nauk Pearl i, Bóg mi świadkiem, jej wytrwałości.

Pearl wbijała nam do głów, jak ważne jest to, abyśmy kochali się nawzajem i szanowali. Zawsze powtarzała, że spotkamy jeszcze mnóstwo ludzi, z którymi będziemy się mogli kłócić do woli gdzieś tam – mając tu na myśli świat zewnętrzny. Pewnie przewróciłyby się w grobie nie raz i nie dwa, gdyby widziała, jak zachowuje się dzisiaj moja rodzina.

Co prawda jak wiele starszych osób mam tendencję do idealizowania przeszłości. Niemal bez żadnego wysiłku potrafię wskrzesić tamte dni w pamięci z taką wyrazistością, jakby wszystko rozegrało się wczoraj. Oczyma duszy ciągle oglądam się za siebie. Na końcu wyjątkowo długiego, zasnutego mgłą tunelu, który biegnie przez czas, za kurtyną pajęczyn widzę swoją młodość. Wystarczy, że odgarnę tę zasłonę, i zobaczę wszystko wyraźnie, przypomnę sobie, jak to naprawdę było. A było po prostu cudownie.

Które święta Bożego Narodzenia uznałabym za najwspanialsze? Trudny wybór, ale jedne rzeczywiście wyróżniają się spośród całej reszty. Żyła jeszcze wtedy mama, a rok był, zdaje się, 1920. Tak, zgadza się, 1920. Miałam zaledwie sześć lat i chodziłam do pierwszej klasy. A w prawdziwym świecie sporo się działo. Choć mnie ten prawdziwy świat wydawał się strasznie nudnym miejscem, zupełnie obcą planetą dorosłych, którzy zachowywali się, jak dla mnie, irracjonalnie.

Mimo że byłam wtedy jeszcze mała, doskonale orientowałam się w zagadnieniach politycznych. Nie na darmo egzemplarz charlestońskiego „News 8c Fourier” pojawiał się w naszym domu każdego dnia. Choć szczerze mówiąc, mało mnie wówczas obchodziły wszystkie te sprawy, które miały tak niewielki wpływ na moje życie. Wiedziałam, że ta straszna wojna w Europie się zakończyła, a to dlatego, że stanowiła ona główny temat rozmów przy obiedzie, odkąd w ogóle sięgam pamięcią. Ale teraz w końcu zapanował pokój. Dorośli powtarzali z długim westchnieniem ulgi, że gospodarka ma się coraz lepiej, a

cywilizowany świat wziął się wreszcie z powrotem w garść. Powtarzali to miliony razy, jakby nie mieli innych problemów.

A w moim świecie wszyscy chłopcy ze szkoły, nie wyłączając mojego brata, żyli tylko baseballlem. Ja wcale nie uważałam za wielkie wydarzenie faktu, że Babę Ruth miał dołączyć do Jankesów. Jankesi? Wolne żarty. Albo czy w ogóle interesowało mnie, że właśnie ukazał się „Wiek niewinności” Edith Wharton? Akurat przeżywałam swój własny wiek niewinności i przestępując z nogi na nogę, niecierpliwie wyczekiwałam nadciągających świąt Bożego Narodzenia!

Boże Narodzenie! Może po prostu opowiem wam, jak to wszystko wyglądało? Och, mój Boże! Powietrze było wręcz naelektryzowane oczekiwaniem. Poczynając od naszego domu, radość i podekscytowanie tryskały z każdego zakątka Charleston, zupełnie jakby w rurach wodociągowych całego miasta pojawiły się, jeden za drugim, mikroskopijne przecieki. Jednym słowem sukcesja, nie secesja. Taki mały żart.

Święta! Dorośli spotykali się na rozmaitych imprezach ze swoimi znajomymi, ludźmi, których często nie widzieli przez cały rok. Obdarowywano się drobnymi prezentami, wszyscy wysyłali i odbierali bożonarodzeniowe kartki, a dzwonek u drzwi praktycznie nie milkł. Ludzie przychodzili w odwiedziny do babki i matki, które zawsze robiły dla bliźnich tak wiele dobrego, tylko po to, żeby życzyć im wesołych świąt. Niektórzy przynosili w upominku czerwone poinsecje, ustawiane potem przez mamę po bokach kominka, inni zjawiali się z pudelkami domowej roboty pomadek czy toffi, które trafiały do królowej na kredensie w jadalni kryształowej misy. Brzęk jej przykrywki zdradzał nas za każdym razem, gdy sięgaliśmy do środka po łąkoc.

– Dzieciaki, zabieracie stamtąd swoje łapska, ale już! – krzyczała Pearl z drugiego pokoju. – Potem nie będziecie chciały jeść kolacji!

Ta kobieta usłyszałaby szelest chusteczki do nosa opadającej na ziemię na drugim końcu miasta, bez dwóch zdań.

W naszych, moich i mojego brata, oczach parada gości zdawała się nigdy nie kończyć. Za każdym razem pędziliśmy do drzwi co sił w nogach z nadzieją, że tym razem przyjaciel rodziny przyniesie cukierki, a nie kolejną bezużyteczną roślinę. Oboje z Gordiem musieliśmy więc znosić ciągłe poklepywanie po głowie i szczypanie w policzek, po czym dobrze nam wszystkim życzący gość nieodmiennie stwierdzał, że moja babka Dora w ogóle się nie starzeje, a moja mama Helena jest dokładnie taka sama, za to, ojej, ale Gordie i ja wyrosliśmy. Uśmiechaliśmy się w takich razach uprzejmie, a potem przewracaliśmy porozumiewawczo oczami, czekając tylko na okazję, żeby jak najszybciej się stamtąd wymknąć i wrócić do zabawy, której oddawaliśmy się namiętnie w przerwach między wypełnianiem obowiązków. Gordie nie potrafił wtedy w ogóle usiedzieć na miejscu. Ale które dziecko potrafi, gdy święta za pasem?

Przygotowania do nich były tak ogromnym przedsięwzięciem, że wszyscy zakasywaliśmy rękawy, rzucając się w wir pracy. Szaleństwo zaczynało się parę tygodni przed Świętem Dziękczynienia i trwało aż po szare, lodowate dni stycznia, kiedy to Pearl, z tą swoją przebiegłą miną, zaskakiwała nas ostatnim kawałkiem keksa, który jakimś cudem udało się jej

zachomikować. Dzieliła się nim ze mną i Gordiem przy kubku gorącej, doprawionej skórką pomarańczową i goździkami herbaty.

Pearl była służącą/ochmistrzynią/zaopatrzeniowcem/psychiatrą/najlepszą przyjaciółką mojej babki. Bez niej nasze życie z całą pewnością by się zawaliło. No cóż, tak naprawdę nie miała oczywiście uprawnień psychiatry. Za to doskonale potrafiła słuchać, w każdej sytuacji miała na podorędziu rozsądną radę i nigdy, przenigdy się nie myliła. Cechowały ją wrodzona inteligencja i duża doza tajemniczości, a w jej otoczeniu zawsze unosił się zapach jeżyn. Poza tym miała chyba oczy dookoła głowy, bo Gordiemu i mnie nigdy nie upiekł się żaden niecny postępek, chyba że Pearl zdecydowała inaczej. W chwilach podekscytowania często zdarzało się jej przechodzić na gullah, a kiedy była przygnębiona, opowiadała mi zasłyszane od swojej matki prawdziwe historie o czasach niewolnictwa, które przerażały mnie do tego stopnia, że potem całymi godzinami nie przestawałam szlochać. Pearl była najdroższą mi istotą pod słońcem i to właśnie jej chciałam się zawsze najbardziej przypodobać, zwłaszcza po śmierci mamy.

Z naszego punktu widzenia wydawała się równie imponująca jak pomnik George'a Washingtona. Musiała mieć co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, była postawna, przyprószone siwizną włosy nosiła zwinięte ciasno w koczek na karku. Każdego dnia wkładała świeżo wypraną sukienkę z czarnego kretonu i długi biały fartuch, który zamieniała na bardziej elegancki, ozdobiony plisowaną falbanką, kiedy moja babka albo matka przyjmowały gości. Wsuwkami przypinała też do włosów niewielki czepeczek z białego nakrochmalonego płótna. Sama jej obecność wystarczała, żeby śmiertelnie wystraszyć większość ludzi, ale my wiedzieliśmy, że Pearl kocha nas równie gwałtowną miłością jak my ją. Jeśli chodzi o mnie, to praktycznie nie odstępowałam jej na krok, zawsze kręcąc się gdzieś w pobliżu.

Fakt, że dom należał do babki, nie miał dla mnie żadnego znaczenia, ponieważ to Pearl była siłą napędową wszystkich dobrych rzeczy, które się w nim działy. Zwłaszcza kiedy dyrygowała misją przygotowań do Bożego Narodzenia.

A wszystko zaczynało się od dostawy orzechów. Mieszkający aż w Sumter przyjaciel ojca z czasów dzieciństwa miał zagajnik drzewek rodzących pekany o przypominającej papier łupinie. Każdego roku jutowy worek z dwudziestoma ich funtami pojawiał się w cieniu tylnej werandy. Czasami dostawaliśmy inne rodzaje orzechów, ale wilgotne, maślane pekany pozostawały naszym ulubionym przysmakiem. Bez wątplenia był to niezwykle szczodry dar. Co roku tata próbował wcisnąć swojemu przyjacielowi jakąś zapłatę, ale ten zawsze stanowczo odmawiał, w końcu więc ojciec oznajmiał, że w takim razie muszą wypalić wspólnie cygaro i uczcić Boże Narodzenie nad szklaneczką „O Be Joyful”. Siedzieli potem razem, po prostu popijając piwo i gawędząc, ze śmiechem wspominając różne wydarzenia z czasów wspólnego dzieciństwa, powtarzali historyjki o tym, jak nauczyli się łowić ryby czy polować.

Pojawienie się worka z orzechami otwierało dla nas okres przedświątecznej gorączki.

– Pora wyłuskać trochę orzechów – oznajmiała Pearl. – Dzieciarnia też musi się wziąć do roboty.

Oczywiście nie mogłam przepuścić podobnej okazji. Dzięki temu czułam się bardzo dorosła. Zawiazawszy przy wydatnej pomocy Pearl troczki fartucha, zasiadałam więc na wysokim kuchennym stołku i metalowym dziadkiem do orzechów rozłupywałam pekany, które po obraniu z łupin trafiały do dużej żółtej miski. Później razem z Pearl przebierałyśmy je raz jeszcze, wyrzucając zabłąkane łupiny, a same orzechy sprawdzałyśmy metalową szpilką i ostrożnie usuwałyśmy gorzkie zdrewniałe włókna, tkwiące nadal w rowkach otaczających jądro. Oczyszczone orzechy przechowywaliśmy w szczelnie zamkniętych szklanych słojach, dopóki nie uzbieraliśmy dosyć, by przygotowywać wszystkie świąteczne wypieki, te same co każdego roku.

Spomiędzy pokruszonych kawałków wybieraliśmy całe połówki orzecha, które trafiały potem do słodkich, przypominających krówki pomadek, farbowanych przez Pearl na blad różowo albo zielono. Orzechy służyły też jako nadzienie daktyli, były obtaczane w cukrze pudrze albo gotowane w maśle i posypywane cukrem kryształem czy też ciemnym, brązowym. Drobniejsze kawałki dodawało się do rumowych kulek i ciasteczek z orzechami, reszta po starannym posiekaniu trafiała do keksa i orzechowca. Oczywiście Gordie, który jak wszyscy chłopcy uwielbiał psoty, zawsze musiał zwędzić rumową kulkę, po zjedzeniu której udawał, że jest pijany, kręcąc się po kuchni i wpadając na różne przedmioty. Na ten widok zawsze zaczynałam chichotać, dopóki nie padłam na podłogę razem z nim. Nawet potrząsająca głową Pearl nie była w stanie się powstrzymać od uśmiechu. Możecie mi wierzyć lub nie, ale ciasta z czasów mojego dzieciństwa były po prostu wyśmienite. Nikt nie żartował wtedy, że naszych wypieków można by użyć zamiast cegieł albo do gry w piłkę.

W 2006 roku nie mogło być mowy o żadnych keksach. Każdy akurat przeszedł na dietę, musi pilnować cholesterolu albo ma inną, równie bezsensowną wymówkę.

Czy w dawnych czasach rozwieszaliśmy świąteczne dekoracje? Mój Boże! Stary dom budził się do życia, pełen dumy, zadowolenia z ozdób, które umieszczaliśmy praktycznie wszędzie. Tydzień po Święcie Dziękczynienia Pearl, Gordie i ja zasiadaliśmy razem z mamą na werandzie z tyłu domu. Najpierw wkładaliśmy długie kawałki liny do starej ocynkowanej wanny i moczyliśmy je w wodzie przez całą noc. Zazwyczaj na dworze panowała jeszcze na tyle wysoka temperatura, że wystarczały nam same swetry, za to na dłonie wkładaliśmy stare ogrodowe rękawice, bo przy tym zajęciu można się było nieźle ubrudzić. Potem wspólnymi siłami formowaliśmy grube majestatyczne girlandy, aż gęste od gałązek sosny, cedru i magnolii, które wtykaliśmy w supły wiązane na namoczonej linie. Po jej wyschnięciu całość trzymała się doskonale. Nie mieliśmy wątpliwości, że nasze dzieło spokojnie mogłoby zawisnąć w pałacowych komnatach.

Pearl i mama starannie mierzyły potem girlandy, a kiedy uznały, że długość jest już wystarczająca, przycinały linę i zawiązywały supeł na samym końcu. Następnie wnosiliśmy je do domu ostrożnie, ale z wielką pompą, niczym długie chińskie smoki z papieru, i zawieszaliśmy w tym czy innym miejscu, nie pomijając żadnego pomieszczenia. Poręcze schodów uginały się pod masą zieleni, wszystkie kominki i framugi drzwi też były po królewsku przyozdobione; zawieszaliśmy długie pasma girland wokół wysokiego, sięgającego od podłogi aż po sam sufit trema w głównym holu, w podobny sposób

przystrajaliśmy drzwi wejściowe od zewnątrz. Nie mogło się również obejść bez wieńców splecionych z zielonych pędów bukszpanu czy świerku i śnieguliczki, nazywanej przez nas popcornem z powodu małych śnieżnobiałych jagód. Czasami dodawaliśmy jeszcze młode szyszki, obsypane czerwonymi jagodami gałązki ostrokrzewu i rajskie jabłuszka, o ile udało się nam jakieś znaleźć. Zawsze używaliśmy czerwonej satynowej wstążki, starannie przechowywanej z roku na rok, którą Pearl ostrożnie dla nas rozpakowywała i rozwijała. Śpiewała przy tym pieśni gospel, na przykład „Podążaj za mną”, z przesłaniem głoszącym, że wszyscy powinniśmy modlić się o powtórne nadejście Chrystusa. Kiedy zdarzyło się jej zapomnieć słowa czy dwóch, po prostu zaczynała nucić, nawet na moment nie przerywając delikatnego rozprostowywania żelazkiem zagniecen wstążki w miejscach, gdzie rok temu były kokardy.

Każdy z nas otrzymywał jakieś zadanie do wykonania. Muszę przyznać, że niektóre były znacznie przyjemniejsze od innych. Oboje z Gordiem nie mieliśmy nic przeciwko czyszczeniu liści magnolii starą, nasączoną olejem kukurydzianym ściereczką do naczyń, ale żadnemu z nas nie uśmiechało się brudzenie sobie twarzy i rąk lepkiem sosnowym sokiem. Jakimś cudem jednak zawsze okazywało się, że jesteśmy nim dokładnie umorusani, więc mama szorowała nas w staromodnej żeliwnej wannie, dopóki głośnym krzykiem nie zaczynaliśmy się domagać, żeby nas puściła. Mój Boże! Nie wracałam myślami do tamtych chwil od lat! A Gordie bez wątpienia potrafił wrzeszczeć jak prawdziwy dzikus.

Dzisiaj nikt nie przygotowuje już girland. Ani wieńców. Wszystko zamawia się w kwiaciarni czy z katalogu albo kupuje przy szosie u tego samego człowieka, który latem sprzedaje fajerwerki. Albo co gorsza, ludzie używają tych sztucznych okropieństw z plastiku, zapominając, że na Boże Narodzenie dom powinien pachnieć lasem. Jeśli o mnie chodzi, to jestem tym wszystkim rozczarowana. Bo trzeba wam wiedzieć, że prawdziwa radość ze świąt kryje się w przygotowaniach. To one podsycaly w nas gorączkę oczekiwania.

Oczywiście były też prezenty. Gordie i ja co roku przygotowywaliśmy dla mamy i babci zakładki do książek. Obie uwielbiały czytać, a nasz dom był całkiem nieźle zaopatrzony w lekturę najrozmaitszego autoramentu. Na długim wąskim kawałku sztywnego papieru rysowaliśmy więc kwiatek lub ptaszka, kolorowaliśmy obrazek starannie, a potem nożyczkami do paznokci wycinaliśmy na brzegach rąbki. Na odwrotnej stronie umieszczaliśmy swoje imię i datę, po czym nasze dzieło wędrowało razem z własnej roboty kartką z życzeniami pod łóżko, aby tam czekać do momentu ustawienia choinki.

A w jeden z mroźnych poranków wędrowaliśmy King Street za rękę z Pearl do sklepu Kerrisona, gdzie krótką chwilę spieraliśmy się, co kupić za tę niewielką sumę pieniędzy, jaką zarobiliśmy, wykonując drobne prace w rodzaju zmiatania schodów czy zwijania ręczników, aby wreszcie wybrać dla ojca Inianą chusteczkę do nosa albo krawat. Oczywiście później przygotowywaliśmy też dla niego kartkę. Natomiast decyzja, co podarować Pearl, zawsze stanowiła dla nas nie lada problem. Zwykle tak długo zamęczaliśmy wszystkich dookoła, aż wreszcie ktoś z rodziny godził się pójść z nami na zakupy, z których wracaliśmy z parą ślicznych rękawiczek, swetrem albo piękną apaszką na prezent dla niej. Teraz sędzę, że w tamtych czasach dorośli uważali, że na uwagę i miłość musimy sobie zasłużyć. I tylko Pearl

obdarowywała nas jednym i drugim szczerze i bezwarunkowo. Może w tym właśnie kryła się wyjątkowa nauka – perła mądrości?

W każdym razie wszystko to zajmowało nam całe tygodnie! Kiedy docieraliśmy do końca przygotowań, dom był pięknie przystrojony, a my przelykaliśmy ślinę na samą myśl o przysmakach, które mieliśmy wkrótce pałaszować, nie bacząc na kalorie. W momencie osadzania i ubierania choinki Gordie i ja chodziliśmy już z oczami jak młyńskie koła od wypatrywania czegokolwiek, co choć odrobinę przypominało renifera, a uszy wydłużały się nam od ciągłego nasłuchiwania brzęku najmniejszego dzwoneczka.

Dom zdobiła również przepiękna szopka, ostrożnie rozstawiana na starym mahoniowym stole w głównym holu, wokół której kładło się zielone stroiki ze świecą wotywną pośrodku. Z perspektywy czasu dochodzę do wniosku, że musiało to stanowić ogromne zagrożenie pożarowe, ale wtedy nikt zdawał się nie przejmować takimi rzeczami. Oczywiście ktoś mógłby zapytać, co w protestanckim domu robiła kolorowa szopka. Po prostu moja babka otrzymała ją w prezencie od swojej przyjaciółki katoliczki, która twierdziła, że to najpiękniejszy sposób na przypomnienie wszystkim, o co tak naprawdę chodzi w tych świętach. I miała rację! Cała szopka składała się z figurek Józefa, Maryi, wołu i osiołka, umieszczonych w skromnej stajence. Rankiem w dzień Bożego Narodzenia wkładaliśmy do żłóbka Dzieciątko, wieczorem ustawialiśmy pasterzy, których zabieraliśmy na początku stycznia, kiedy to przybywali trzej królowie. Pasterze musieli przecież wracać do swoich owiec, prawda?

Na drugim stole leżała rodzinna Biblia, otwarta na stronie z przepięknie oddaną przez artystę sceną narodzin Jezusa, otoczona zielonymi gałązkami adwentowego wieńca z czterema świecami, trzema fioletowymi i jedną czerwoną. Świece tkwiły mocno w mosiężnych świecznikach, a zapalało się je tylko podczas wieczery. Jedną w pierwszym tygodniu, dwie w drugim... i tak aż do wielkiego wydarzenia.

Regularnie uczęszczaliśmy też wówczas do kościoła i głęboko wierzyliśmy w prawdziwe znaczenie Bożego Narodzenia. Gordie? W jego wieku? Możecie być pewni, że mocno zaciskając powieki, prosił tam Boga o kowbojskie rewolwery albo baseballową rękawicę. A ja klęczałam zaraz obok niego i grzecznie złożywszy dłonie, z palcami skierowanymi w stronę nieba, żarliwie modliłam się o lalkę, która potrafi mówić „mama”. Skoro na świecie nastał wreszcie pokój, a wśród ludzi panowała powszechna życzliwość, nie było chyba nic złego w proszeniu Boga, by odrobinę wspomógł Świętego Mikołaja, prawda?

Tak właśnie wyglądały święta. Łupaliśmy orzechy, własnoręcznie produkowaliśmy świąteczne ozdoby i większość prezentów, chodziliśmy do kościoła i czekaliśmy na wizytę Świętego Mikołaja. Wszyscy zajmowali się też przygotowywaniem rozmaitych wypieków – głównie ciast. Mało kto dekorował jednak dom tak bogato jak my. Nie jestem pewna, czy szykowaliśmy się do tych świąt z równym entuzjazmem, bo babka, mama i Pearl chciały, żebyśmy się czymś zajęli i nie sprawiali kłopotów, czy też same po prostu nie były się w stanie powstrzymać. Zresztą to i tak nie miało znaczenia. Dom wyglądał i pachniał wspaniale dzięki poutykanym wszędzie zielonym gałązkom i wypiekom. Sam fakt, że robiliśmy to wszystko razem, czynił nas szczęśliwsiymi, niż czuliśmy się kiedykolwiek potem.

Ale tamte czasy dawno minęły. Gordie, Pearl, moi rodzice i dziadkowie już nie żyją. Fred, mój biedny, kochany mąż, odszedł z tego świata przed prawie dziesięciu laty, a ja nadal tęsknię za nim każdego dnia. Moje życie jest naprawdę puste bez niego.

Gordie, który wyrósł na żołnierza i spełnienie marzeń każdej dziewczyny, zginął w Normandii, na francuskim wybrzeżu kolejnej straszliwej wojny, jaka przetoczyła się przez ten świat. Nigdy nie pogodziliśmy się z tą stratą. Jakże byśmy mogli? Byliśmy z niego dumni i czerpaliśmy pociechę z tego, że nasza rodzina dała ojczyźnie bohatera, który poświęcił życie za europejskich sojuszników, ale jego śmierć zabiła w każdym z nas część duszy. Wszyscy mieliśmy już zawsze nosić w sercu ziarno żałoby. Mój dziadek zmarł, ledwie wyrosłam z pieluszek. Potem odeszła babcia, straciliśmy Pearl. Kiedy miałam trzynaście lat, nagle zmarła mama. Gdyby mój ojciec jeszcze żył, osiągnąłby już wiek prawdziwie matuzaleмовy, więc nie będę się rozwodzić nad smutnym tematem jego odejścia. Tęsknię za nimi, nie jestem jednak kobietą, która łatwo się roztkliwia, zwłaszcza z powodu rzeczy, na które nie ma się wpływu.

Chodzi mi po prostu o to, że w czasach mojego dzieciństwa wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Powiem wam jedno. Pearl, a pewnie nawet moja matka, byłyby oburzone na samą myśl o sztucznych choinkach i wieńcach, nadmuchiwanym mikołajach i koszmarnie drogich orzeszkach pekan, sprzedawanych w ohydnych celofanowych opakowaniach po zaledwie częściowym oczyszczeniu. Pearl czułaby się też bez wątpienia zawiedziona, że nikt już nie piecze, nie je ani nie ofiarowuje przyjacielom ciast czy cukierków i że własnoręcznie wykonane prezenty to w dzisiejszym świecie niemal kompletnie zapomniany przeżytek. Wydziergać dla kogoś sweter albo zrobić szydełkiem kapę na łóżko? Zapomnijcie! Obie przeraziłaby zwłaszcza myśl, że ludzie przesyłają sobie jako prezent bony towarowe przez Internet, cokolwiek to jest, i że uważają sam fakt wydania pieniędzy za pomocą paru kliknięć za wystarczający wysiłek. Wielkie osobiste poświęcenie! W dzisiejszym świecie priorytety wyglądają zupełnie inaczej niż kiedyś. Zdaję sobie sprawę, że cała ta technologia jest bardzo pomocna w wielu sprawach, ale sami chyba rozumiecie, że podobnie jak prywatne szkoły i niewielkie, rodzinne firmy wolałabym też własnoręcznie zrobioną zakładkę do książki zamiast darmowego posiłku w jakimś bezpłatnym lokalu udającym restaurację.

No, ale to wyłącznie moje zdanie. Chociaż nadal czuję się równie zwawa jak, dajmy na to, trzydzieści lat temu, prawda wygląda tak, że jestem już starszą panią. Znowu nadeszło Boże Narodzenie i cała rodzina zjechała do starego domu, który, jak wspominałam, prezentował nam swoje niezadowolenie, ten niekończący się protest z za grobu.

Ściany wzdychały, obrazy ciągle się przekrzywiały, a światła to przygasały, to rozbłyskiwały nagle bez żadnego wyraźnego powodu poza tym, że samemu budynkowi albo zamieszkującym go duchom nie podobał się pokręcony sposób, w jaki moja córka, jej mąż, dzieci i wnuki przygotowują się do świąt. Ja starałam się tylko schodzić im wszystkim z drogi.

Dopiero nocą, leżąc w łóżku, mogłam przyznać przed samą sobą, że po części to moja wina. Byłam na siebie wściekła, że nie zachęcałam Barbary do uczestniczenia w podniecających świątecznych przygotowaniach tak, jak robiła to Pearl w moim i Gordiego

wypadku. I oto dotarliśmy do jeszcze jednej sprawy, która ostatnio nie dawała mi spokoju. Tęskniłam za Pearl bardziej niż za mamą.

Mama uwielbiała święta, ale ich organizację pozostawiała Pearl, podczas gdy sama zajmowała się wypełnianiem swoich towarzyskich obowiązków. Oczywiście, rozpoczynała razem z nami okres przedświątecznych przygotowań i bardzo lubiła przystrajanie domu, ale kiedy już rzuciła się w wir przyjęć, rzadko ją widywaliśmy. Czasami miałam wrażenie, że praktycznie nie znam swojej matki. Jej śmierć okazała się dla mnie jako trzynastolatki tak traumatycznym przeżyciem, że przez lata próbowałam przywołać z zakamarków pamięci szczegóły jej twarzy, przez co zdjęcia stały się dla mnie szczególnie cenną pamiątką. Poprzysięgłam też sobie, że zawsze będę miała czas dla swoich dzieci.

Później, kiedy wyszłam za mąż i objęłam w posiadanie rodzinny dom, nigdy nie pojawiła się w nim gospodyni podobna do Pearl. Miałam tylko Barbarę. Co prawda odstałam swoje przy pieczeniu babeczek, ale w zajęcia poza domem się nie angażowałam. Barbara i Fred nie sprawiali kłopotów, na dodatek ojciec, który mieszkał z nami, dopóki Pan nie powołał go do siebie, chętnie mi pomagał. A Barbara była cichym, wyrozumiałym dzieckiem, które zawsze potrafiło sobie znaleźć jakąś rozrywkę.

Nie powtarzajcie tego nikomu, ale był taki czas, kiedy oboje z Fredem martwiliśmy się, że nasza córka nigdy nie wyjdzie za mąż. To właśnie w tamtym okresie dom zaczął narzekać. Po prostu on i jego duchy chcieli mieć pewność, że kolejna rodzina zajmie moje i Freda miejsce, kiedy przyjdzie nam stanąć przed Świętym Piotrem.

Biedna Barbara! Na swoje nieszczęście odziedziczyła wydatny nos mojej babki Dory oraz parę innych dziwactw i cech charakteru, z powodu których nigdy nie było jej dane zostać królową balu. Dzięki Bogu powiedzenie, że każda potwora znajdzie swego amatora, okazało się jednak prawdziwe i kiedy Barbara skończyła dwadzieścia lat, pojawił się Cleland Taylor ze swoim chłopięcym, choć jakże arystokratycznym wyglądem. Mój przyszły zięć pochodził z dobrej rodziny, jednak był tylko skromnym studentem, który przejawiał zaskakujący brak ambicji. Ostatecznie udało mu się skończyć politologię na Uniwersytecie Wirginii, a potem znaleźć pracę w banku tu, w Charleston, gdzie dochrapał się nawet kierowniczego stanowiska, co w tamtych czasach stanowiło znacznie większe osiągnięcie niż dzisiaj.

W domowym zaciszu często dzieliłam się z Fredem swoimi obawami, czy Cleland nie oświadczył się aby Barbarze ze względu na perspektywę finansowej stabilizacji, a nie z miłości. Fred zarzucał mi w takich chwilach nadmierny sceptycyzm i nigdy nie przegapił żadnej okazji, żeby dyplomatycznie zwrócić moją uwagę na wszelkie przejawy uczucia ze strony Clelanda. W końcu więc z naszym błogosławieństwem młodzi stanęli przed ołtarzem, a po krótkim miesiącu miodowym w San Francisco zamieszkali razem z nami, zgodnie z uświęconą przez wieki rodzinną tradycją.

Na pozór pierwsze lata ich małżeństwa wyglądały zupełnie jak w moim wypadku – proste, spokojne, uporządkowane życie. Nigdy nie pojawiła się potrzeba zatrudnienia pomocy na stałe, bo ja gotowałam, a Fred zajmował się drobnymi naprawami. Co jednak ważniejsze, w drzwiach naszego domu nigdy nie stanęła odpowiednia kandydatka. Nie było już na świecie kobiet takich jak Pearl.

Kiedy urodziły się dzieci Barbary i Clelanda, George, a potem Camille, szybko dała o sobie znać rywalizacja między rodzeństwem. Barbara nie była w stanie zapanować nad wiecznie drącą koty dwójką, Cleland stawał się coraz bardziej zamknięty w sobie, a powszechne niezadowolenie było na porządku dziennym. Istne szaleństwo! Dom miał wreszcie swoje następne pokolenie lokatorów, ale najwyraźniej nie był zbyt zadowolony z temperatury ich wzajemnych kontaktów, bo zaczął jęczeć i wzdychać, wykorzystując okres od Święta Dziękczynienia aż po Nowy Rok, żeby się porządnie wyżalić.

Dzięki łasce boskiej i herkulesowym wysiłkom Barbara zdołała wprowadzić swoje niesforne dzieci w dorosłość, a potem w stan małżeński. Oboje dali jej jak na razie po jednym wnuku. Nie bardzo było się jednak czym chwalić, ponieważ cała czwórka wysysała życie z mojej córki. Jeśli chodzi o moją rodzinę, to darzę jej członków uczuciem w kolejności narodzin, tak więc Barbara ma zawsze pierwszeństwo przed nimi wszystkimi.

Nawet teraz, po tylu latach, moja córka jest mało atrakcyjną, niezbyt modnie ubraną i okropnie nieśmiałą kobietą, za to ma szczerzłote serce. Czy to wystarczyło, żeby utrzymać wiecznie nadąsanego męża w ryzach i wychować dwójkę krnąbrnych dzieciaków? Nie.

Ale to ja jestem temu winna. Zachowywałam się jak nadopiekuńcza kwoka, która nie potrafi nauczyć pisklęcia, jak rozkładać te swoje szare skrzydełka i latać. Dowodziłam pozbawionym steru okrętem, którego przeznaczeniem była Ziemia Wiecznych Zmartwień. Tak wygląda prawda. To śmierć matki, a zaraz potem Pearl sprawiły, że nie potrafiłam wpoić Barbarze tych wszystkich umiejętności, których potrzebowała. Wiedziałam, jak powinna postępować matka przez jakichś pierwszych trzynaście lat życia córki, jednak nie miałam pojęcia, co dalej.

No, ale dość już na ten temat! Nie można wkroczyć w dziewięćdziesiąty czwarty rok życia, pławiąc się w samooskarżeniach, prawda? A Cleland ma swoje zalety. Z całą pewnością podsunął mi wystarczająco wiele krzesel i otworzył przede mną dosyć drzwi, żeby zasłużyć na miano dżentelmena. Po prostu oboje z Fredem pokładaliśmy tak wielkie nadzieje w Barbarze, Clelandzie i ich dzieciach. Wiedziałam, że każde z nich jest w głębi ducha dobrym człowiekiem, ale wszystko to sprawiało wrażenie, hm... co powinnam zrobić, by wydobyć to dobro na światło dzienne?

Chcąc zachować zdrowie psychiczne i pogodę ducha, zaprowadziłam zwyczaj, który pozwala mi zachować nie tylko młode serce, ale i umysł. Dlatego nigdy nie zapominam o tym, żeby każdego wieczoru zapytać Barbarę o samopoczucie, a Clelanda o to, jak mu minął dzień w pracy. Rano zawsze czytam gazetę, żeby mieć tematy do rozmowy przy stole. Co wieczór po kolacji, dokładnie o dziewiętnastej, pozwalam też sobie na porządny łyk burbona z pokruszonym lodem i odrobiną syropu z cukru, zwieńczonego gałązką świeżej mięty. Zgadza się, miętowy julep w mojej ulubionej szklaneczce z rżniętego szkła, która jest tak często w użyciu, że rzeźbione wzory zaczynają się już wycierać. Według pory jego pojawienia się w salonie spokojnie można by regulować zegarki.

Eliza, nasza współczesna wersja współniczki zbrodni na pół etatu, jaką dla mojej babki i matki była Pearl, przynosi mi go razem z płócienną serwetką i dwoma serowymi placuszkami na małej srebrnej tacy, którą obie lubimy najbardziej. Odziedziczyłam ją po mojej prababce.

Chociaż dosyć skromna, przypomina mi znacznie wykwintniejsze czasy. Eliza kocha cały ten ceremoniał równie mocno jak ja. Dla mnie oznacza on zakończenie kolejnego zwycięskiego dnia w świecie żywych. Dla niej początek wieczoru spędzanego w domu, z dala od nas.

Nikt nie potrafi przyrządzać miętowych julepów tak jak Eliza, która przygotowuje jeden pyszny posiłek za drugim dla całej naszej rodziny od dwunastu lat. Spędziwszy ich w kuchni osiemdziesiąt parę, uznałam, że najwyższy czas kogoś zatrudnić dla dobra nas wszystkich. Łatwo mi to przyszło. Moja słodka Barbara nigdy nie mogła się pochwalić szczególnie bujną wyobraźnią kulinarną ani sukcesami w tej dziedzinie, nawet mając na podorędziu półki uginające się od książek kucharskich. Jak to mawia młodsze pokolenie? W życiu! Barbara jest kochana, a Eliza dba o nasze żołądki. Nie chodzi o to, że nie potrafimy gotować – po prostu Eliza robi to znacznie lepiej od nas. Dzięki niej nasz dom stał się naprawdę szczęśliwym miejscem. Poza tym spójrzmy prawdzie w oczy. Moje życie towarzyskie ma bardzo ograniczony zakres. Ludzie mojego pokolenia zostali wytrzebieni niemal do zera przez normalne ludzkie przypadłości. Najprawdopodobniej jestem jednym z najstarszych mieszkańców Charleston! Możecie sobie wyobrazić, jakie to dziwne uczucie? W niektóre dni wyczuwam obecność śmierci wszędzie dookoła siebie, pragnę więc też cieszyć się życiem, oczywiście w granicach przyzwoitości.

Świąteczne dekoracje nie mieściły się jednak dla Elizy w pojęciu „praca”. Zaakceptowaliśmy to. Eliza robiła dla nas zakupy, przygotowywała obiad i kolację, dbała o porządek w kuchni. Od czasu do czasu Barbara wynajmowała też ekipę sprzątającą, która zajmowała się praniem i innymi domowymi pracami. Ale to Eliza tworzyła atmosferę, na której nam zależało.

Czasem odnosiłam wręcz wrażenie, że więcej spraw łączy mnie z Elizą niż z moją własną córką. Zresztą Eliza wiedziała, jak wysoko cenię sobie jej przyjaźń i dyskrecję. Zdarzało mi się przesiadywać razem z nią w kuchni, chociaż nie po to, żeby pomóc jej w pracy. Szczerze mówiąc, ostatnia rzecz, której mi teraz trzeba, to upadek na mokrej podłodze. A gdybym złamała biodro? Tak więc również z tego powodu cieszyłam się, że mam u swojego boku kogoś takiego jak Eliza. Każdego dnia, gdy zjawiała się w pracy, zapewne przedłużała mój pobyt na tym padole.

Tak między nami? Z jakiegoś szczególnego powodu Eliza była jedyną osobą z całego otoczenia, która podzielała moją opinię na temat ogólnego niezadowolenia i wybryków domu. Być może ta wyjątkowa wrażliwość stanowiła efekt uboczny pochodzenia z nizin Południowej Karoliny. Któż to może wiedzieć?

Tak sobie nad tym rozmyślałam, a tu przecież znowu nastąpiło Boże Narodzenie. Siedziałam sama w jadalni, wystrojona w swój świąteczny zestaw: ulubioną sukienkę z dzianiny i żakiet. W klapę po lewej stronie miałam wpiętą małą okrągłą broszkę ze szmaragdami i perłą – ostatni prezent od mojego męża. Dotknęłam delikatnie błyskotki, wspominając, jak Fred uśmiechnął się na widok mojego podekscytowania i jak przypiął mi ją na sercu. Czekałam, aż zjawi się Eliza z moim drinkiem. Muszę przyznać, że coraz bardziej lubiłam porządek i codzienne rytuały. Takie przyzwyczajenia pomagały mi zachować sprawny umysł. A miętowy julep wcale nie zmniejszał mojego poziomu tolerancji na głupotę. Tak naprawdę to

wręcz go podwyższał.

Brutalna prawda była taka, że tego wieczoru, tego konkretnego roku wszystko wyglądało jeszcze gorzej niż zwykle. Moje serce z trudem to znosiło.

W salonie po przeciwnej stronie holu rodzinka sprzeczała się właśnie przy ubieraniu swojej pseudo-choinki. Nie miałam najmniejszej ochoty się do nich przyłączać. Zwyczajnie nie chciałam brać udziału w ich słownych przepychankach. Przynajmniej nie bez jakiegoś wzmocnienia, bo w normalnej sytuacji moja trzódka była wprost nie do zniesienia. Czyż z powodu ich zachowania nie miałam niespokojnych snów? Tak, dobrze słyszeliście. Co noc widziałam w nich Pearl, potrząsającą głową i grożącą mi palcem.

Oto prawdziwa zagadka. Wiedziałam, że dobry Pan najprawdopodobniej wkrótce wezwie mnie przed swoje oblicze – w końcu nikt nie może żyć wiecznie. Tyle że nie chciałam odchodzić z tego świata, pozostawiając rodzinę w takim stanie. Cóż jednak mogłam na to poradzić? Kogo obchodzi zdanie starej kobiety?

– Proszę bardzo, pani Theodoro! Dokładnie taki, jak pani lubi!

– Och, dziękuję ci, Elizo! – Sięgnęłam po szklankę z drinkiem i serwetkę, a talerz z serowymi placuszkami odstawiłam na stolik. Potem skinęłam ręką w stronę salonu, gdzie ponad pięknymi tonami „Dziadka do orzechów” Czajkowskiego unosiły się głosy przypominające gniewne krakanie wron. – Tylko ich posłuchaj.

Przez chwilę stałyśmy razem, obserwując bez słowa mrugające światła. Ramy obrazów przechylały się w lewo i w prawo, podczas gdy my wsłuchiwałyśmy się w odgłosy kłótni.

– Przydałoby się im porządne lanie! – oświadczyłam w końcu.

– Zawsze tacy byli – odparła Eliza. – Przynajmniej odkąd ich znam.

– Moim zdaniem zrobili się jeszcze gorsi.

No cóż, było też kilka dobrych rzeczy. Syn Barbary i Clelanda, George Jęczydusza, wreszcie znalazł powód do zadowolenia. Dziewięć miesięcy i dwa dni po ślubie jego trzecia małżonka, Lynette, która na swoje nieszczęście pochodziła z rodziny o znacznie skromniejszych od naszej zasobach finansowych i mniej wyszukanych manierach, powiła córkę, Teddie.

Dziewczynka została bardzo przemyślnie nazwana na moją część w nadziei, że kiedy już Pan wezwie mnie do wieczności, ich czekać będzie znacznie wspanialsza nagroda. Moja imienniczka miała zaledwie dziesięć lat i od kołyski była małą diabolicą. George psuł dzieciaka do granic możliwości i rzadko przywoływał go do porządku.

Z przykrością muszę też stwierdzić, że zastraszona przez George’a Lynette nie potrafiła zaprowadzić w domu dyscypliny. Na dodatek była tak szczuplutka, że z łatwością mógłby ją porwać silniejszy podmuch wiatru. Podejrzewam, że jej waga stanowiła bezpośredni rezultat czujności, z jaką pan i władca obserwował każdy kęs jedzenia wędrujący do jej ust. W towarzystwie szeptano, że George jest po prostu wyjątkowo powierzchownym człowiekiem, któremu zależy jedynie na wyglądzie żony. No cóż. Biedna Lynette. George po prostu musiał mieć nad czymś kontrolę, a jego nieszczęsna połowica świetnie się do tego celu nadawała. Lynette nosiła stroje, które podobały się mężowi, i jeździła na wakacje tam, gdzie on sobie życzył, za to George miał żalowaną, obwieszoną diamentami marionetkę. Ich córeczka pewnie

byłaby uroczym dzieckiem, gdyby oboje nie wykorzystywali jej jako broni we wcale nie tak rzadkich kłótniach. Na domiar złego George radził sobie całkiem nieźle w handlu nieruchomościami, co, jak podejrzewałam już od jakiegoś czasu, budziło zawiść jego ojca.

Trzydziestosześcioletnia Camille była ze swoim mężem, Graysonem, w separacji i ewidentnie zazdrościła Lynette biżuterii i okazałego majątku. Jej mały synek, Andrew, zresztą przemile dziecko, bardzo cierpiał z powodu rozstania rodziców. Dałabym sobie głowę uciąć, że biedaczek miał korepetycje z tego czy innego przedmiotu każdego popołudnia! A kiedy Grayson próbował wyegzekwować swoje prawo do odwiedzin, Camille zawsze wpadała we wściekłość. Zresztą sytuacja była stresująca dla nas wszystkich. Camille obrzucała męża tak strasznymi wyzwiskami i opowiadała na jego temat tak paskudne rzeczy, że moim zdaniem Andrew zwyczajnie bałby się okazać ojcu choć odrobinę uczucia, żeby matka nie poczytała tego za zdradę. Na dodatek Camille naprawdę za bardzo cacka się z synem. W ogóle cała sprawa jest zagmatwana i chora.

– Mają wszystko, czego dusza zapagnie, a tak się zachowują – mruknęłam. – Na samą myśl o tym zbiera mi się na płacz.

– No, ja nie wiem, pani Theodoro – odparła powątpiewająco Eliza. – Dla niektórych wszystko to i tak za mało. Chce pani, żebym im powkładała kawałki węgla do świątecznych skarpet?

Wiedziałam, że tym drobnym żartem Eliza próbowała podnieść mnie na duchu.

– Gdyby takie lekarstwo wystarczyło... – westchnęłam i spojrzałam na swoją wierną towarzyszkę. – Malkontenci. Oto kim są. Zgrają malkontentów.

W tym momencie wiszący nad kominkiem portret mojej babki przekrzywił się z lekkim skrzypieniem. Podeszłam go poprawić, a kiedy przy okazji mrugnęłam do jej podobizny okiem, niemal słyszałam, jak mówi: „Moje biedne głupty!”.

W tym momencie rozdzwonił się telefon komórkowy Elizy, która odeszła na bok, żeby go odebrać. Odetchnęłam jeszcze raz głęboko, pociągnęłam duży łyk drinka i w końcu ruszyłam do salonu. Pora sprawdzić, czy uda mi się zaradzić idiotycznym pomysłem na przystrojenie choinki.

Skąd się wzięły te wszystkie nowe rzeczy? I jakim cudem moja rodzinka zdołała porozwieszać choinkowe zabawki, nie dostając przy tym oczopląsu od wściekłego mrugania choinkowych lampek? Po bliższym zbadaniu okazało się, że starsze ozdoby, które były w naszej rodzinie na długo przed moimi narodzinami, zostały upchnięte na tylnych gałązkach drzewka. Za to z przodu tłoczyły się elfy o szalonym wyglądzie i nogach długich jak spaghetti, grube nosorożce przebrane za baleriny i wszelkie idiotyzmy, jakie ludzie są tylko w stanie wymyślić, żeby wyciągnąć ci pieniądze z portfela.

Moje zdumienie musiało być chyba dla wszystkich oczywiste.

– Coś nie tak, babciu? – zaniepokoiła się Camille.

– Mamie nie przypadł do gustu twój głupany, odpustowy temat przewodni – rzucił bez ogródek Cleland, nawet nie siląc się na uprzejmość.

W głębi ducha musiałam mu przyznać rację. Moim zdaniem nowe ozdoby były szczytem tandety, ale zdawałam też sobie sprawę, że jestem niestety konserwatywnie nastawioną do

życia staruszką. Tylko jak mogłam się cieszyć na widok choinki, na której ozdoby reprezentujące ponadstuletnią historię naszej rodziny zostały zepchnięte do tyłu niczym największe paskudztwo?

Co prawda nadal był to mój dom, ale dawno temu pozwoliłam Barbarze i Clelandowi przejąć wszelkie codzienne obowiązki. Przepraszam, nie zamierzałam się nad sobą roztkliwiać. Po prostu cały rok czekałam na ten dzień, kiedy będę mogła wreszcie dotknąć każdego z tych cacek, wspominając, skąd się wzięły w naszej rodzinie albo kto je nam podarował. Może to z mojej strony zbędny sentymentalizm. Zrobiło mi się strasznie smutno, ale wiedziałam, że jeśli powiem coś na ten temat, choćby słówko, tylko pogorszę sprawę.

Barbara, moja biedna, tchórzliwa córka, rzuciła pojednawczo:

– Przecież w Białym Domu mają choinki we wszystkich salach i każda jest ubrana według innego motywu przewodniego. Więc jeśli Camille zdecydowała się na coś nowego, czemu komukolwiek miałyby to przeszkadzać? W końcu uzgodniliśmy podczas Święta Dziękczynienia, że to ona dowodzi ubieraniem choinki w tym roku.

W milczeniu przycupnęłam na brzeжку kanapy z mocnym postanowieniem trzymania języka za zębami. Chociaż pomyślałam sobie przy tym, że nie pozwoliłabym Camille przygotować nawet ciasta na pierniczki, które stanowią kolejny kamień obrazu we współczesnym, domagającym się natychmiastowej gratyfikacji świecie. Na pewno zapomnieliby, że piekarnik jest włączony, i wyszłaby z domu, pozwalając mu spłonąć doszczętnie. Oczywiście po uprzednim przypaleniu pierniczeków.

– Andrew to straszny dzieciak – rzuciła w moją stronę Teddie swoim piskliwym głosem z drugiego końca pokoju. – Ciągle wierzy w Świętego Mikołaja.

Potem powtórzyła tę opinię jeszcze kilka razy, aż zaczęłam się martwić, że doprowadzi tym Andrew do płaczu. Biedaczek miał dopiero osiem lat, a jego złośliwa kuzynka próbowała mu zepsuć Boże Narodzenie. Już miałam jej powiedzieć to i owo do słuchu, kiedy w samą porę interweniowała Camille, błyskawicznie zasłoniwszy Andrew uszy:

– Lynette, możesz powiedzieć swojej córce, żeby przestała?

– Camille – warknął George – a jakbyś sama się tak zamknęła, co? Najlepiej idź wziąć coś na uspokojenie.

– Posłuchaj, synu – odezwał się surowym tonem Cleland, ale zaraz potem całe jego patriarchalne oburzenie wyparowało niczym poranna rosa, więc już bez słowa podszedł do barku i nalał sobie kolejnego drinka.

Moim zdaniem Cleland za dużo pije. Kiedyś był czarującym młodym człowiekiem, ale z biegiem lat zaczął się zamykać w sobie, odgradzając się murem milczenia od rodziny.

No, ale dosyć tego dobrego. Wstałam z zamiarem przyciszenia muzyki, tym razem zdecydowana palnąć im kazanie, na które od dawna sobie zasłużyli. Zanim jednak zdążyłam sięgnąć po pilota od wieży stereo, w drzwiach salonu stanęła mocno zdenerwowana Eliza w kapeluszu i narzuconym na fartuch płaszczu.

– Co się stało? – zaniepokoiłam się.

– Moja córka rodzi...

– Myślałam, że termin porodu ma w lutym – zdumiała się Barbara, zupełnie jakby żadne

dziecko w historii ludzkości nie przyszło na świat przed czasem.

O mój Boże, nie!, pomyślałam i odmówiłam w duchu krótką modlitwę za córkę Elizy.

– To poród pośladowy. Dzwonił zięć. Podobno córka ciągle mnie woła!

– W takim razie musisz do niej natychmiast jechać! – orzekła Barbara, odkupując tym samym wszystkie swoje grzechy, przynajmniej w moich oczach. – Idź i o nic się nie martw!

– Barbaro! – Cleland podniósł głos. – Przecież ty nie potrafisz nawet zagotować wody! Co będzie z naszą jutrzejszą kolacją i bożonarodzeniowym obiadem?

Oto najlepszy przykład niezwyklej wrażliwości mojego zięcia.

– Zadzwoiłam do mojej przyjaciółki Jewel – wyjaśniła Eliza. – Obiecała przyjść i pomóc państwu jutro i pierwszego dnia świąt! – Po tych słowach wybuchnęła płaczem. – Pani Theodoro, mogę panią prosić na chwilę?

– Oczywiście! – Natychmiast podążyłam za nią, kiedy szybkim krokiem skierowała się przez hol i kuchnię do tylnego wyjścia. Jej samochód czekał zaparkowany na żwirowym podjeździe za domem.

– Z nią, to znaczy z Jewel – zaczęła – trochę trudno się dogadać. Na dodatek chce strasznie dużo pieniędzy, bo to Boże Narodzenie i w ogóle. Ja wszystko pani zwrócę, ale teraz po prostu muszę być przy mojej córeczce! Proszę...

– Nawet o tym nie myśl – rzuciłam krótko. – Problem, który da się rozwiązać za pomocą pieniędzy, to żaden problem. Jedź! Pospiesz się! Powodzenia, a po wszystkim koniecznie do mnie zadzwoń! – Już miałam zamknąć drzwi, kiedy nagle coś mi się przypomniało, więc zawołałam jeszcze: – Elizo! – Pospiesznie zeszłam ze schodów i uściśnęłam ją z całych sił. – Elizo, niedługo zostaniesz babcią! Czy mogłabyś otrzymać wspanialszy prezent na święta?

Po tych słowach wróciłam na schody, ale nawet w mroku widziałam, że Eliza uśmiecha się przez łzy. Potem pomachała do mnie, przesłała ręką całusa i dodała:

– Mój Boże, pani Theodoro, ma pani całkowitą rację! Ja też życzę pani wesołych świąt! I dziękuję!

Kiedy dotarłam do salonu, czekała mnie tam kolejna podczas tegorocznego Bożego Narodzenia niespodzianka. Zacinając się lekko, Barbara łajała swoją rodzinę i choć raz Cleland sprawiał wrażenie, jakby się z nią zgadzał.

– W końcu nie jesteśmy przyzwyczajeni do... to znaczy coś tam potrafimy chyba upichcić – oświadczyła. – Moim zdaniem jeśli wszyscy weźmiemy się ostro do pracy, podzielimy obowiązkami, na pewno uda się nam przygotować wieszczę wigilijną i świąteczny obiad, prawda? To znaczy, czemu miałyby się nam nie udać?

Twarze wszystkich zastygły w wyrazie zaniepokojenia. A mnie przemknęły natychmiast przez głowę przerażające wizje przypadków zatrucia pokarmowego. Co z oparzeniami i szaloną jazdą na pogotowie? Czy my w ogóle mamy aloes w domu? Chirurga plastycznego na podorzędziu? I dobrego gastrologa? Zapadła złowróżbna cisza, bo najwyraźniej każdy rozważał teraz w milczeniu brak doświadczenia Barbary w obchodzeniu się z jakimkolwiek kuchennym sprzętem poza mikrofalówką, w której odgrzewała resztki obiadu z poprzedniego dnia.

– Spróbujmy podejść do całej tej sytuacji pozytywnie. Może ta Jewel, jeżeli w ogóle

przyjdzie, okaże się naprawdę świetną kucharką i na coś się przyda – mruknął Cleland, wzruszeniem ramion zbywając słowa swojej żony. – A jeśli nawet nie, twoja matka na pewno przyrządzi nam swoją specjalność – kanapki z masłem orzechowym i galaretką. – Zachichotał, ubawiony swoim idiotycznym żartem. Nikt inny się do niego nie przyłączył.

To niezbyt miłe z jego strony, pomyślałam. Wspominałam już, że z Barbary żadna tam Julia Child, ale co z tego? Z całą pewnością potrafiłaby przygotować pod moim czujnym okiem indyka ze wszystkimi dodatkami, o ile reszta dopilnuje, żeby podłoga w kuchni pozostawała sucha. A już na pewno bylibyśmy w stanie przyrządzić proste danie z makaronem na wigilijną kolację, nieprawdaż? Więc zupełnie nie rozumiem, dlaczego Cleland musiał się uciekać do sarkazmu.

– No cóż, w moim wypadku nie ma mowy o zmywaniu naczyń – oświadczyła Lynette. – Dopiero co zapłaciłam czterdzieści parę dolców za tipsy. – Na dowód wyciągnęła dłoń o długich paznokciach z francuskim manikiurem i biało-czerwonymi paskami, które przywodziły na myśl kolejowe szlabany. Z całą pewnością przykład mistrzostwa w obsłudze aerografu i nanoszeniu wzorków, ale mnie przypominały one pasiaste lizaki. Bardzo odważna uwaga, jak na Lynette, na dodatek raczej wulgarna.

– Lynette? Przecież wiesz, co sędzę o sztucznych paznokciach – zgromił ją George.

Lynette natychmiast oblała się pąsem. George nie przypadał za jakąkolwiek sztucznością, chociaż mogłabym przysiąc, że sam farbuję włosy. Nie wspominając już o, hm, rudej czuprynie jego żony. Choćby nie wiem jak próbował, nigdy nie zdoła przerobić jej na prawdziwą salonową lwicę. Nie o to jednak chodzi. Zwykle to właśnie Lynette zachowywała się najmilej z nich wszystkich. Co powinno wam dać sporo do myślenia.

– Złotko, włożysz rękawiczki, tak jak te wszystkie gospodynie domowe z telewizji, i dasz sobie radę – rzuciła Camille, jakby sama nigdy w życiu nie umyła żadnego talerza i nie miała najmniejszego zamiaru tego zmieniać podczas tych świąt.

– Przepraszam – postanowiłam interweniować. Wszyscy zamarli, a potem popatrzyli na mnie, jakbym spadła tu nagle z innej planety. – Jutro Wigilia, być może moja ostatnia. Więc jeśli kogoś interesuje, czego ja życzyłabym sobie na te święta, to chciałabym, żebyście wszyscy choć raz w życiu, przez te dwa dni, byli dla siebie nawzajem mili. Niczego więcej nie pragnę. – Żadne z nich nawet nie pisnęło. – Chyba nie proszę o zbyt wiele, prawda? – Cisza zaczynała się przedłużać. – No cóż, dochodzi dziewiąta, więc lepiej pójdę już do łóżka – dodałam. – Obudźcie mnie, gdyby dzwoniła Eliza. Dobrej nocy.

Podeszłam do każdego po kolei i cmoknęłam niedbale w policzek, a na koniec uściskałam swoje prawnuczęta.

Kiedy nachyliłam się nad impertynencką Teddie, dodałam jeszcze z najpoważniejszą miną, na jaką mnie było stać:

– Jeśli nie wierzysz w Świętego Mikołaja, on na pewno nie przyjdzie. Dlatego na twoim miejscu przemyślałabym jeszcze swoje stanowisko.

Teddie poczerwieniała jak burak i okręciwszy się na pięcie, ukryła buzię w fałdach marynarki George'a, który nie zdołał wydusić nawet słowa krytyki pod moim adresem. Przeniosłam wzrok na Camille, Barbarę i Clelanda. Cała trójka wyglądała na lekko

zawstydzonych. I bardzo dobrze!

Ale nie mój kochany pucołowaty Andrew. On nie miał na sumieniu żadnych grzechów! Jego piękne orzechowe oczy były teraz szeroko rozwarte ze zdumienia, kiedy z uśmiechem zapytał:

– Wierzysz w Mikołaja?

– Oczywiście – przytaknęłam, uściskawszy mocno jego ramionka.

– Kocham cię, Gigi.

Andrew zawsze nazywał mnie Gigi. Skrót od słowa „greatgrandmother”, prababcia.

– Ja też cię kocham.

Bóg mi świadkiem, ten chłopiec to istny anioł. Jakim cudem uchował się w naszej rodzinie, na zawsze pozostanie dla mnie zagadką. Wyprostowałam plecy, teraz ledwie odrobinę bardziej przygarbione niż jeszcze kilka lat temu, a potem zmierzyłam wzrokiem moją małą trzódkę, ten mały ocean niezadowolonych twarzy, unoszących się przede mną niczym okruchy kry na powierzchni wody. Każdemu z nich życie przyniosło uprzywilejowaną pozycję, dobre zdrowie, bezpieczeństwo, rozsądną miarę inteligencji – i co? Żadne nie odczuwało nawet odrobiny wdzięczności za to, co otrzymali. Pożegnałam wszystkich skinieniem głowy i w końcu opuściłam salon. Przez chwilę w pokoju panowała cisza, po czym usłyszałam głos Clelanda, który odchrząknął i wymamrotał do George’a, że mam sporo racji! Widzicie? Jednak nie zawsze zachowuje się jak ostatnia kanalia!

Nie było jeszcze dziewiątej, a ja już czułam się kompletnie wyczerpana.

Powędrowałam po schodach na górę, do swojej sypialni. Przebrałam się w koszulę nocną, nałożyłam na twarz odrobinę kremu nawilżającego – dla ochrony przed swędzeniem, nie po to, by ratować resztki młodości – i wśliznąwszy się pod kołdrę, ucałowałam zdjęcie Freda, które zawsze trzymam na nocnej szafce. Moja żaloba po jego *A* odejściu była przynajmniej częściowo przyczyną panującej w naszym domu ponurej atmosfery, więc po raz kolejny upomniałam się w myślach, że muszę być silna, przede wszystkim ze względu na dzieci.

Na plus należało poczytać fakt, że wprost uwielbiałam swój pokój, jeden z sześciu na najbezpieczniejszym poziomie pierwszego piętra. Szczerze mówiąc, wolę go od głównej sypialni. Jest mniej surowy, a poza tym wyposażony we wspaniałą kominek z szarobiałego marmuru. Na dodatek mam osobną, nieznacznie tylko przerobioną łazienkę, co zapewnia mi większą prywatność. Kiedy odstąpiłam Barbarze i Clelandowi swoją sypialnię, a sama przeniosłam się do ich pokoju, kazałam zmienić obicie ścian na żakardowy perkal w różowe kwiaty i zielone liście na żółtym tle. Dzięki temu moje królestwo nabrało bardzo radosnego charakteru, tak że samo przebywanie tutaj działa niczym zastrzyk witaminy B12. Do swojej dyspozycji miałam też duży wygodny fotel i otomanę ustawione w pobliżu okna tak, by można było czytać przy cudownym popołudniowym świetle. Książki stanowiły moją ogromną pasję i ucieczkę przed szaleństwem tej rodziny.

Barbara i Cleland zajmowali teraz pokój na drugim końcu korytarza, który po śmierci moich rodziców dzieliłam z Fredem. Od dawna wyczuwałam, że mój zięć nie może się już doczekać, kiedy obejmie we władanie największą sypialnię, więc po prostu im ją oddałam, żeby nie musieli wypatrywać, kiedy kostucha zabierze mnie wreszcie w ostatnią drogę. Wcale

nie było to z mojej strony wielkie poświęcenie. Zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, byle tylko Cleland poczuł się panem domu. Łudziłam się, że ustępstwa i mój finansowy wkład w utrzymanie rodziny skłonią zięcia do bycia nieco miłszym dla mojej córki. Gdybym miała określić jego zachowanie jednym krótkim zdaniem, powiedziałabym, że pogodził się ze swoim małżeństwem. Nigdy nie stanowiło ono dla niego źródła wielkiej radości, tak więc moje wysiłki byty zapewne z góry skazane na niepowodzenie, bo przecież nikogo nie da się zmusić do miłości czy w ogóle odczuwania ciepłych uczuć wobec drugiej osoby.

Na szczęście metraż domu pozwalał nam zachować wystarczający dystans. Obok mojej sypialni znajdował się pokój gościnny, nazywany przez nas Zielonym, mimo że jego ściany od dawna już były w zupełnie innym kolorze. Kiedy George i Lynette przyjeżdżali do nas z wizytą, zajmowali pokój naprzeciwko niego, ochrzczony nieoficjalnie mianem Apartamentu dla Nowożeńców, choć nie jestem w stanie powiedzieć dlaczego – zapewne ze względu na wystrój w tonacji kości słoniowej i przepiękny stary żyrandol z górskiego kryształu. Teddie mieszkała zaraz obok, w pokoju z tapetami w pastelowych odcieniach różu i zieleni, uroczym i bardzo kobiecym. Westchnęłam. Jaka szkoda, że moja prawnuczka nie może przejąć od niego choć cząstki tych cech. No, ale ostatecznie biedactwo wkroczyła akurat w trudny wiek. Nie była głupim dzieckiem, po prostu brakowało jej taktu i wrażliwości. Postanowiłam spędzić z nią trochę więcej czasu, o ile oczywiście Teddie mi na to pozwoli, żebyśmy porozmawiały sobie o życiu i o tym, jak można je uczynić piękniejszym dla wszystkich wokół nas. Świetny pomysł! Spróbuję wszelkich sposobów, byle tylko moja prawnuczka nabrała choć trochę oglądy.

W pokoju sąsiadującym z główną sypialnią Cleland urządził swój gabinet, odgradzający go od kłótni pozostałych członków rodziny czy ryku telewizora, podkręcanego późną nocą dla zagłuszenia odgłosów takich właśnie dysput.

Od listopada, a dokładniej od Święta Dziękczynienia, na drugim piętrze mieszkali też Camille i Andrew, co martwiło mnie coraz bardziej. Obawiałam się, że tak już może zostać, jeśli Camille nie uporządkuje swoich spraw z Graysonem, który, o ile mi było wiadomo, nadal przebywał w Atlancie.

Największym plusem zgromadzenia ich wszystkich pod jednym dachem na święta była nadzieja, że dzięki temu sami dostrzegą wreszcie swoją głupotę, obserwując ją u innych, i zdolają zmienić się na lepsze. Zdawałam sobie sprawę, że wiele oczekuję, ale taka właśnie była moja ostatnia myśl tuż przed zaśnięciem.

A potem zaczęły napływać straszliwe sny, najgorsze w całym moim życiu koszmary.

Śniły mi się Pearl i moja babka Dora, po której otrzymałam imię. Znowu byłam małą dziewczynką i siedziałam razem z nimi w kuchni, piekąc ciasteczka na święta, najzwyczajniejsze ciasteczka z cukrem. Takie, w których ciasto się po prostu rozwałkowuje, a potem wykrawa różne kształty – dzwonki, gwiazdki, choinki i tak dalej – za pomocą metalowych foremek. Nawet przez sen czułam unoszący się w powietrzu aromat masła i cukru. Mogłabym przysiąc, że zapach jest jak najbardziej realny, aż zaczęłam się obliżywać, co wszak nie przystoi damom. I wszystkie trzy byłyśmy bardzo szczęśliwe. A potem Pearl odwróciła się w moją stronę z groźną miną, bardziej zagniewaną, niż widziałam u niej kiedykolwiek wcześniej.

– Jak mogłaś pozwolić, żeby stali się tacy? No jak? Chyba lepiej cię wychowałam?

– Jestem tylko małą dziewczynką! – próbowałam się bronić. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

W tym śnie wiedziałam jednak, że jestem już dorosła, a Pearl i babcia dawno nie żyją. Rozumiałam też, choć sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać, że Pearl mówi o kolejnych pokoleniach naszej rodziny, jakie po nich pozostały, aby powoli przeistoczyć się w prawdziwe kłębowisko węży. Gdy tylko o tym pomyślałam, że wszystkich garnków na kuchni zaczęły wypełzać węże, które błyskawicznie pokryły całą podłogę, wijąc się i z groźnym sykiem unosząc łby. Próbowałam krzyczeć, ale nie mogłam dobyć głosu z gardła.

A potem w mgnieniu oka przymglone światło przeszło w ostry blask południa. Babcia zniknęła, Pearl i ja zostałyśmy w kuchni same. Po węzach nie było nawet śladu, a ja znowu miałam tyle lat co teraz. I wiedziałam, że to już nie sen. Tylko nawiedzenie przez ducha. Jeśli waszym zdaniem węże były przerażające, to trzeba wam wiedzieć, że to doświadczenie okazało się jeszcze gorsze. Po stokroć gorsze. Pearl wbijała we mnie te swoje przerażające orzechowe oczy w ciemnej oprawie, zaciskając wargi z taką miną, jakby zamierzała położyć mnie trupem na miejscu. A potem wypuściła powietrze z długim, ciężkim westchnieniem, aż poczułam na swoim ramieniu gorąco jej oddechu.

– Co się dzieje z tą rodziną?

– Błagam cię, Pearl, pomóż mi!

– Pomóc panience? Całe życie nie zajmowałam się niczym innym!

– Co ja takiego zrobiłam? Czemu jesteś zła?

– Nie chodzi o to, co pani zrobiła, panienko Theodoro! Tylko o to, czego panienka nie zrobiła!

– Cóż mogę na to teraz poradzić? Jestem taka stara! Nikogo nie obchodzi, co myślę! Nikogo!

Pearl musiała sobie uświadomić, jak wiele prawdy kryje się w moich słowach, bo uspokoiła się nieco i odezwała już łagodniejszym tonem:

– Posłuchaj mnie uważnie, kochanieńka. Zanim przekroczę bramy niebios, mam jeszcze jedno zadanie do wypełnienia i tak coś czuję, że chodzi o tych paninach niedowiarków. Przywołam ich do porządku, a potem dostanę wreszcie swoje skrzydła. I niech Pan ma w swojej opiece tego, co spróbuje wejść mi w drogę.

Przez resztę nocy leżałam złana potem w łóżku, zaciskając mocno powieki i drżąc na całym ciele. Z przerażeniem wsłuchiwałam się w ogłuszający ryk wiatru, który zawodził wokół domu. Wszystkie co do jednego okna brzęczały tak, jakby za chwilę miały powypadać z ram, podłogi skrzypiały pod czyimiś krokami, chociaż wiedziałam, że reszta rodziny od dawna już śpi w swoich pokojach. Coś nie z tego świata nadciągało coraz bliżej i bliżej. I chociaż brzmi to idiotycznie, byłam pewna jak jeszcze nigdy niczego w życiu, że to coś jak najbardziej realnego. Duchy naszych przodków powróciły zza grobu, by wyrazić swoje niezadowolenie i wesprzeć Pearl. Po raz tysięczny zaczęłam się modlić do Najwyższego o opiekę.

Ale to nie te hałasy były najbardziej przerażające, tylko widmo Pearl, tak bardzo na mnie

zagniewanej. Szczerze mówiąc, okropnie się tym przejęłam.

A potem nagle zapanowała niesamowita cisza. Jedynym dźwiękiem, który teraz słyszałam, było przyspieszone bicie mojego serca. W końcu sięgnęłam po okulary i spojrzałam na stojący przy łóżku budzik. Ósma rano! Nastał nowy dzień, a ja zasnęłam! Jak to możliwe? Zawsze wstaję przed szóstą! Byłam pewna, że obudzę się w kuchni, ale tak się nie stało. Nadal leżałam we własnym łóżku, a moje stare serce tłukło mi się o żebra, zupełnie jakby zamierzało wyskoczyć mi z piersi. Z trudem chwytając oddech, próbowałam się uspokoić, ale zajęło mi to całe wieki. Nie miałam pewności, czy to, co mi się przytrafiło, rzeczywiście było tylko snem, choć w końcu uznałam, że to jedyne możliwe wytłumaczenie. Albo to sen, albo po tak długim oporze zaczęłam tracić rozum. Czy zawrotenie głowy też mi się tylko przyśniło? I wszystkie te trzaski i zgrzyty? A może Pearl naprawdę się na mnie gniewała?

Czułam się całkowicie wypoczęta, a więc musiałam spać mocniej, niż mi się zdawało. Coś mi mówiło, że będę potrzebowała mnóstwa siły, żeby jakoś przetrwać ten dzień.

Wstałam z łóżka, a kiedy wyjrzałam przez okno, aż westchnęłam ze zdumienia. Powietrze było gęste od mgły, która spowiła całą zatokę niczym ciężka zasłona. W całym swoim życiu nie widziałam czegoś podobnego. Gdyby nie fakt, że dzisiaj przypadała Wigilia, byłby to doskonały pretekst do wśliznięcia się z powrotem pod kołdrę i przespania całego dnia. Oczywiście, nie żebym kiedykolwiek robiła takie rzeczy.

Nie miałam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Najmniejszego. Spróbowałam więc skupić się na obowiązkach, które mnie dzisiaj czekały. Musiałam pomóc Barbarze w przygotowaniu udanych świąt. Może wtedy Pearl, gdziekolwiek teraz jest, wybaczy mi moje zaniedbania. A poza tym nie mogłam przecież zawieść Barbary!

Nie zwlekając dłużej, ubrałam się odświętnie w sukienkę z czerwonej wełenki i żakiet, a potem wpięłam jeszcze w klapę tę samą broszkę co wczoraj. Pospiesznie przełknęłam codzienny zestaw pigulek, dzięki którym jakoś się jeszcze toczę po tym świecie, zerknęłam na swoje odbicie w obejmującym całą sylwetkę lustrze i z przyjemnością skonstatowałam, że wyglądam góra na osiemdziesiątkę. Całkiem nieźle. Kiedy schodziłam na dół głównymi schodami, u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. Nie zdążyłam jednak otworzyć, bo Barbara mnie ubiegła.

– Pani musi być Jewel! Dziękuję, że zechciała pani przyjść! Zapraszam do środka! Proszę! – Przy tych słowach odsunęła się lekko, żeby wpuścić gościa do domu. W półmroku rysowała się niewyraźnie sylwetka postawnej kobiety z niewielką walizką w ręku.

Pearl.

Część druga

Wigilia

To naprawdę była Pearl. Przeszył mnie dreszcz.

Pearl wynurzyła się z kłębow ciężkiej, wilgotnej mgły, pewnym krokiem wchodząc do głównego holu z posadzką w czarnobiałą szachownicę. Przez chwilę rozglądała się uważnie dookoła, jakby chciała na nowo zaznajomić się z domem, który znała tak dobrze lata temu. Powoli, jak na zwolnionym filmie, postawiła swoją staromodną wytartą walizkę z brązowej skóry na ziemi. Następnie ściągnęła, palec po palcu, czarne, wydziergane na drutach rękawiczki, starannie złożyła je razem i schowała do torebki, po czym zdjęła swój czerwony wełniany płaszcz i przewiesiła go sobie przez ramię. Z uśmiechem zmierzyła Barbarę wzrokiem od stóp do głów, wypełniając cały hol pełnym oddania ciepłem. Była szczęśliwa, że mogła tu wrócić i osobiście poznać moją córkę. Etap pierwszy misji rozpoczęty.

Nigdy nie istniała na świecie siła potężniejsza od energii, którą emanowała Pearl u progu jakiegoś wielkiego dzieła. A teraz czekała ją misja bożonarodzeniowa, jej ulubiona.

Barbara cofnęła się, nagle w pełni świadoma autorytetu stojącej przed nią kobiety.

– Wesołych świąt – no bo przecież już prawie Boże Narodzenie! Ależ paskudna pogoda, prawda? Taka mgła!

Kompletne szaleństwo! – zaczęła paplać bez ładu i składu, co zdarza się jej zawsze w chwilach wielkiego zdenerwowania. – Dziękuję, że zechciała pani przyjść! Czy mogę... to znaczy, czy pani, uhm, czy mogę jakoś pani pomóc się rozgościć? No wie pani, oprowadzić po domu i tak dalej ?

– Nie, proszę pani. Najlepiej zabiorę się od razu do pracy.

– Ach, oczywiście! Oczywiście, ma pani rację. Tyle jest jeszcze dzisiaj do zrobienia ... – przytaknęła Barbara. – Wieczera wigilijna i w ogóle...

– Tak, proszę pani. O pierwszej podam pyszny obiad, potem koktajle o siódmej i kolacja o ósmej.

– Zazwyczaj jadamy kolację o szóstej... – pod karcącym spojrzeniem Pearl Barbara szybko zamilkła. – Ale może być o ósmej... to nawet lepiej...

– Świetnie. W takim razie ustalone. Zawołam, jakby mi co było trzeba.

– Och! Ależ oczywiście! Proszę tak zrobić! Będę musiała się dziś trochę pokręcić po mieście, pomimo mgły... ostatnie sprawunki, rozumie pani... Mam jeszcze... Wigilia?

– Tak, proszę pani.

Barbara ruszyła szybkim krokiem na górę, a mijając mnie na schodach, szepnęła:

– Fiu, fiu! Niesamowita kobieta, co?

– Uhm – przytaknęłam, nadal mocno roztrzęsiona. Niesamowita jak żyjący, oddychający duch z krwi i kości.

Pearl rzuciła okiem na stojącą po prawej stronie choinkę i znacząco chrząknęła, a potem spojrzała w końcu na mnie, zupełnie jakby chciała powiedzieć: „No, no! A cóż to za starsza pani stoi tam na podeście? Czyżby to była moja panienska Theodora?”. Muszę przyznać, że nadal byłam w wielkim szoku, o który przyprawił mnie jej widok, tak więc zaciskałam tylko mocno palce na poręczy ze strachu, czy nogi nie odmówią mi posłuszeństwa. A może to zwidy?, zastanawiałam się. Czy ona mnie pamięta? W tym momencie Pearl uśmiechnęła się od ucha do ucha.

I już wiedziałam, że mnie poznała. Niezrażona faktem, że oto stoi przede mną w całej swojej krasie zmarła osoba, odpowiedziałam jej uśmiechem, który przypominał pewnie nerwowy grymas, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

Pearl bez słowa sięgnęła po swoją walizkę i skierowała się w stronę kuchni. Odetchnęłam głęboko dla uspokojenia nerwów, potem jeszcze raz i wreszcie z wolna, powolutku ruszyłam za nią. Dobry Boże! Pomimo tego wszystkiego, czego nauczyłam się w ciągu dziewięćdziesięciu trzech lat życia, kompletnie nie wiedziałam, jak należy postępować ze zmarłymi, którzy powrócili do świata żywych. I co ja teraz, na miłość boską, mam robić?

Zanim dotarłam do kuchni, oczywiście znacznie wolniejszym krokiem, Pearl zdążyła się już rozgościć w bocznej sypialni z oddzielną łazienką, która niegdyś służyła jako pokój dla nadliczbowej służby, nocującej tutaj w kryzysowych sytuacjach, albo jako dodatkowy składzik. No cóż, bez wątplenia znaleźliśmy się teraz w momencie duchowego kryzysu, więc Pearl postanowiła zapewne zamieszkać w tym właśnie pokoju – oczywiście o ile zmarli kąpią się albo śpią.

Tymczasem Pearl zajęła się zawiązywaniem tasemek białego nakrochmalonego fartucha wokół szyi i talii, zupełnie jakby nigdy stąd nie odchodziła.

Czy to naprawdę ona? Byłam niemal na sto procent pewna, że tak, musiałam jednak zapytać. A że Pearl nigdy nie lubiła owijania w bawełnę, postanowiłam powiedzieć wprost, co o tym wszystkim sądzę. Jeśli się pomyliłam, ta obca kobieta po prostu weźmie mnie za stukniętą staruszkę, a ja przeniosę się na strych i w końcu będziemy to mieli za sobą. Modliłam się o to, żebym nie miała racji, ale znałam prawdę, zanim jeszcze otworzyłam usta.

– Wiem, kim jesteś – oznajmiłam wreszcie z wyraźnym drzeniem w głosie.

– Ja też wiem, kim panienka jest! Dobrze móc panią znowu zobaczyć, tylko na Boga! Ile panienka ma teraz lat? Ależ ten czas leci.

– Hm! – mruknęłam, nie namyślając się wiele. Odkąd byłam małą dziewczynką, zawsze hmkałyśmy tak na siebie nawzajem. – No cóż! O ile twój zegar biologiczny nie przestał tykać, to masz teraz w okolicach stu trzydziestu trzech lat. Więc kto tu komu powinien wytykać wiek, co?

Pearl odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się śmiechem tak serdecznym, że samo wsłuchiwanie się w jego melodię podniosło mnie na duchu. Tak bardzo za nią tęskniłam, że teraz marzyłam tylko o tym, żeby mocno się do niej przytulić. Podejrzliwość nie pozwalała mi się jednak ruszyć z miejsca. Ostatecznie to mogła być halucynacja! Staruszkowie w moim wieku miewają przecież rozmaite objawy demencji, więc prawdopodobieństwo, że przytrafiło mi się coś w rodzaju takiego psychologicznego epizodu, było całkiem spore.

A moja Pearl zdążyła już zajrzeć do wszystkich szafek, sprawdzając stan zapasów, po czym zabrała się do penetrowania zawartości lodówki i zamrażarki.

– No, widzę, że panienka ciągle świetnie potrafi liczyć w pamięci.

Pomimo swoich podejrzeń wdałam się z nią w rozmowę.

– W dzisiejszych czasach to kompletnie nieprzydatna umiejętność... żadna konkurencja dla komputerów, kalkulatorów i w ogóle... – Tak bardzo pragnęłam uwierzyć, że pomoc zjawiała się pod postacią tej najwspanialszej – choć już nieżyjącej – kobiety pod słońcem, więc

pomimo niedorzeczności całej tej sytuacji moje serce poddało się ostatecznie. Przyjęłam do wiadomości, że to jednak Pearl we własnej osobie. – Och, mój Boże! Jak wspaniale cię znowu widzieć, Pearl.

– A co, myślała pani, że się nie zjawię? Co się tu wyprawia?

Kiedy odwróciła twarz w moją stronę, brwi miała ściągnięte w wyrazie rozczarowania, a może zdumienia. Nie bardzo wiedziałam, z jakiego powodu.

– No cóż, kto mógł wiedzieć, czy zdołasz spełnić tę obietnicę? W każdym razie ledwo wierzę własnym oczom! – Wyciągnęłam z kieszeni chusteczkę, zdjęłam okulary i otarłam oczy, z których, a i owszem, płynęły mi łzy. – Jak to zrobiłaś, to znaczy, jak się tu dostałaś? Ojej, serce ciągle wali mi jak młotem! Powiedz mi, co z moim Fredem? Widziałaś go?

– Dotarłam tu Pociągiem Miłosierdzia i niech mnie pani nie pyta o nic więcej. To wbrew regułom.

– Nawet o Gordiego? Och, proszę cię, Pearl! Co z moim biednym bratem? I z rodzicami? Błagam cię, powiedz, że wszystko u nich w porządku!

– Wszystko u nich w porządku. Koniec tematu, jasne? Pora wziąć się do roboty!

Nie zamierzała ustąpić nawet o krok, a ja wiedziałam, że nie powinnam jej namawiać do łamania zasad, co pewnie kosztowałoby ją parę skrzydeł, chociaż śmiać mi się chciało na samą myśl o Pearl w roli anioła albo anielskiego posłańca. Zresztą co za różnica? Jeśli Pearl znalazła się tutaj, to znaczy, że muszą też istnieć inni gdzieś tam, czymkolwiek i gdziekolwiek to „tam” było. Najwyraźniej to jedyna informacja i pociecha, jaką miałam otrzymać. Szczerze mówiąc, niczego więcej nie potrzebowałam. A wzięwszy pod uwagę cały ten bałagan, w jakim się znaleźliśmy, zapewne nawet na tyle nie zasługiwałam.

– Cóż – mruknęłam, podczas gdy moje tętno wróciło do prawie normalnego rytmu – pomyślałam, że przyda ci się moja pomoc. Za twoich czasów nie mieliśmy jeszcze piekarników konwekcyjnych, mikrofalówek, robotów kuchennych i tak dalej.

– Pani Theodoro? Bez urazy, ale skoro zdołałam się dostać tu na dół we własnym ciele, to chyba poradzę sobie...

– Przepraszam! Oczywiście, że sobie poradzisz! O czym ja myślę? Napijesz się gorącej herbaty? To znaczy, czy ty w ogóle jesz i pijesz?

– Czemu by nie? – Pearl kontynuowała przegląd szafek i puszek, wciąż kręcąc głową.

– O co chodzi?

W odpowiedzi westchnęła wystarczająco mocno, żeby posłać jakiś pomniejszy krążownik w rejs prosto do portu w Hamilton na Bermudach. A potem zapytała:

– Gdzie jest keks?

– Keks?

– Tak, proszę pani, keks. I orzechowiec, rumowe kulki, ciasteczka z orzechami, pomadki... Żadnych łakoci?

– No cóż, ostatnimi czasy keks ma raczej kiepską reputację, zresztą wszystkie te rzeczy są teraz uważane za niezdrowe, no wiesz, ociekające tłuszczami trans, rafinowanym cukrem i tak dalej. – Napełniłam czajnik wodą i postawiłam go na kuchence. Ręce ciągle lekko mi drżały.

– Hm! Jakbyśmy wszyscy nie żyli dosyć długo, jedząc, co się nam żywnie podobało! Cała

sztuka w umiejętności zachowania umiaru! Aha, jeszcze jedno. O co chodzi z tą choinką i gdzie jest szopka?

– To okropne, prawda? Tegoroczna choinka zdaje się absolutnym triumfem złego gustu nad tradycją i dobrymi manierami. Mój Boże! Nie mów nikomu, że tak powiedziałam. Chodzi ci o szopkę na zewnątrz czy w domu?

– Jedną i drugą.

– Och, przykro mi to mówić, Pearl, ale ludzie nie dbają już o tego typu sprawy. To takie smutne. Nikomu już chyba nie zależy na podtrzymywaniu dawnych tradycji. Albo może inaczej, niektórzy to robią, ale z pewnością nie w tej rodzinie.

– Hm. – Pearl położyła dłonie na biodrach. – Czy w tym domu znajdzie się choć odrobina jeżynowej brandy?

– Tak, sprawdź w spiżarni obok butelki marsali. Do czego ci to potrzebne?

Pearl spojrzała na mnie i uśmiechnęła się tak szeroko, że aż przeszył mnie dreszcz.

– Zamierzam poprawić sobie humor, a potem pani i ja przygotowujemy razem plan.

Pearl nalala brandy do szklaneczki i oto wyjaśniło się, czemu zawsze pachniała jeżynami. Stara dobra Pearl lubiła sobie wypić.

– Tego jednego tam w zaświatach mi brakuje.

– W takim razie nie krępuj się. Już ja dopilnuję, żeby w spiżarni nie zabrakło twojego ulubionego trunku!

– O, nie, wystarczy mi odrobina, tak dla smaku. Mam nadzieję, że nie łamię tym reguł.

– Zabraniających wypicia szklaneczki czegoś mocniejszego dla rozgrzania kości?

– Hm! Reguły to reguły! Zresztą nie zabawię tu długo, góra dwa dni.

– Dwa dni! – Dostałam gęsiej skórki. – Dlaczego tak krótko?

– Hm. Miałam szczęście, że dostałam aż tyle! Kopciuszek miał tylko kilka godzin, ta?

Ta to cudownie uniwersalne słowo, które w języku gullah ma nieskończenie wiele znaczeń. To może być zwykłe: „Słyszysz, co do ciebie mówię?”, „Chodź tu natychmiast, bo jak nie!” albo po prostu „nieprawdaż?”.

– Dwa dni? Och, litości, Pearl! Jakim cudem mamy ich wyprowadzić na ludzi w tak krótkim czasie?

– Pani Theodoro, nie ufa panienka swojej starej Pearl? Upiłam łyk herbaty. Ciągle nie mogłam uwierzyć, że Pearl zjawiała się w naszym domu. Ale tak właśnie wyglądała prawda – to była moja Pearl, ta sama cudowna kobieta, która przeprowadziła mnie bezpiecznie przez rafy i mielizny dzieciństwa, mój ósmy cud świata. Powróciła, aby nauczyć moją córkę i kolejne pokolenia tej rodziny najważniejszych prawd. Sobie tylko znanymi sposobami pokaże im, co naprawdę liczy się w życiu. Osiągnie sukces tam, gdzie ja zawiodłam.

– Boże, Pearl! – rzuciłam, zerknąwszy na zegarek. – Wynajęliśmy już kogoś do pomocy. Ta kobieta nazywa się Jewel! Co zrobimy, kiedy się tu zjawi?

– Nie zjawi się, nie ma strachu. Już o to zadbałam. Po prostu zapomniała. A teraz mogę prosić o ołówek i kartkę papieru? Musimy zrobić listę zakupów. Zamarynuję tę szynkę z lodówki i nastawię czerwony ryż. Mam wszystko, co trzeba do maślanych bułeczek, poza tym widziałam, że zielenina już się moczy...

Wyjęłam z szuflady notatnik z ołówkiem i położyłam je przed nią na stole.

– Masz na myśli jarmuż?

– Aha, pewnie ta Eliza, co tu u was pracuje...

– Eliza? Och, zapomniałam ci powiedzieć... Tak strasznie się o nią martwię! Jej córka...

– Złociutka, w ogóle nie zaprzataj sobie tym głowy! Wiem o całej sprawie i naprawdę wszystko jest na najlepszej drodze. Nic im nie będzie.

– Chwała Bogu!

– Amen. No więc, potrzebuję paru rzeczy ze sklepu... Chwileczka, gdzie są wszyscy? Dlaczego nikt tu jeszcze nie zajrzał, żeby sprawdzić, jak idą przygotowania? Gdzie duch Bożego Narodzenia? I szopka, którą zrobił pani tata? Musiał na to wydać prawdziwą fortunę. Trzeba zaraz powyciągać wszystkie elementy i rozstawić przed domem!

– Wiesz co? Masz absolutną rację! Zajmę się tym!

– Powodzenia!

– Jeszcze zobaczysz! – rzuciłam bojowym tonem. – A jeśli któreś z nich spróbuje mi przeszkodzić, sprawię mu porządne lanie!

Pearl ze śmiechem potrząsnęła głową na ten nagły przejaw inicjatywy z mojej strony.

Pomogę jej w świątecznych przygotowaniach!

Odszukałam Clelanda i George'a, którzy, to jedno mogę wam powiedzieć, nie byli uszczęśliwieni moim życzeniem. Jąkali się i zacinali niczym stary dobry Demostenes z ustami pełnymi kamyków, w końcu jednak zgodzili się zrobić to, o co ich prosiłam. Na rany Chrystusa, przecież nie żądałam od nich, żeby oddali swoje organy do przeszczepu!

Kiedy wróciłam do kuchni, szynka w jakiś cudowny sposób zdążyła się już znaleźć w piekarniku, a pozostałe składniki obiadu bulgotały w garnkach. Cuda Pearl przepełniały powietrze, podobnie jak apetyczny aromat brązowego cukru, wymieszanego z gorczycą i goździkami.

Siedząc w kuchni, doskonale słyszałam narzekania Clelanda i George'a, którzy pośród pełnych niezadowolenia pomruków i sapania znosili po schodach ciężkie, nieporęczne kawałki dykty, z których zawsze budowaliśmy przed domem szopkę. Wymieniłyśmy z Pearl porozumiewawcze spojrzenia i obie parsknęłyśmy śmiechem. Zaraz potem podniosłam się ze swojego miejsca i wymknęłam do holu, żeby zerknąć, jak idą prace. Panowie zdołali odnaleźć trzy ściany i dach stajenki, figury i sam żłóbek, a teraz opierali się o stół, zupełnie jakby ta odrobina wysiłku kompletnie wyzuła ich z sił.

Sama szopka przedstawiała sobą jeszcze smutniejszy widok. Cały ten kram przez lata tkwił upchnięty na strychu, porastając kurzem, tak że teraz wszystko było okropnie brudne i aż lepiło się od pajęczyn. Szybko zamknęłam drzwi z nadzieją, że nasi przymusowi tragarze mnie nie zauważyli.

– Przed kim się panienka chowa? – zapytała Pearl.

– Przed Clelandem i Georgem.

– A czemuż to?

– Obaj łatwo wpadają w złość.

– Hm – mruknęła Pearl, najwyraźniej chcąc mi dać do zrozumienia, że uważa to za

kompletną bzdurę. – Guzik mnie to obchodzi! I pani też nie powinno!

Chwilę później Cleland i George zjawili się w kuchni z biuletynem o stanie szopki oraz informacją, że nigdzie nie udało się im znaleźć figurki Dzieciątka.

– Nie sędzę, żeby warto się było wysilać – oświadczył Cleland. – Cała ta szopka jest dosyć odrażająca. Poza tym na dworze taka mgła, że nikt jej nie zobaczy.

– No właśnie – przytaknął George – gdzie tu sens? Boże Narodzenie już jutro. Za duży kłopot jak na jeden dzień. Poza tym nie ma Jezusa.

Pearl popatrzyła na nich obu spod zmrużonych powiek, zupełnie jakby George wygłosił właśnie swoje wyznanie wiary. Z surową, ale to naprawdę surową, miną sięgnęła do spiżarki, po czym wręczyła im dwie rolki papierowych ręczników i dwie butelki środka czyszczącego w spreju.

– Nie ma Dzieciątka, bo przecie Pan jeszcze się nie narodził. A jakbyście stwierdzili, że robota jest za trudna albo nie warta zachodu, dajcie mi znać.

Z mieszanią gniewu i niecodziennego w ich wypadku zawstydzenia George i Cleland oczywiście próbowali od razu wymigać się od pracy, stwierdziwszy jeszcze mimochodem, że czyszczenie szopki należałoby powierzyć Andrew, który i tak powinien zgubić trochę sadelka.

– Przydałaby mu się odrobina ruchu – prychnął Cleland.

– Mam co do niego inne plany! – odparła Pearl. George, nieprzyzwyczajony do słuchania poleceń od kogokolwiek, a już zwłaszcza od kobiety, natychmiast zrobił się nieprzyjemny.

– Jak tylko wróci do domu, odeślemy go do babcia. Poszedł do supermarketu na zakupy, razem z babcią i mamunią.

Wysoki, nosowy ton George'a sugerował, że Andrew to maminsynek. Okropnie mi się to nie podobało.

– To tylko mały chłopiec – powiedziała, dzięki obecności Pearl nabrawszy dość odwagi, żeby dać wyraz swojemu niezadowoleniu.

Pearl też uniosła brew z dezaprobatą, co nie umknęło uwagi obu panów.

– Mądrała pewnie spróbuje w ostatnim momencie naciągnąć je na cukierki. Albo zabawkę.

Rany Julek! Cleland podjął nieśmiałą próbę rozładowania napięcia, jakie zapanowało między nami.

– Pewnie masz rację – przytaknął George.

Pearl zmierzyła go od stóp do głów spojrzeniem, które w dzieciństwie nazywaliśmy „ciężkim okiem”, a George natychmiast, co dało się bez trudu zauważyć, poczuł się nieswojo.

– Tak pan mówi o swoim jedynym siostrzeńcu w Wigilię? Czy w ogóle w jakikolwiek inny dzień, jeśli już przy tym jesteśmy? To niezbyt miłe.

– Och, tylko żartowałem – próbował się bronić George. – Nie zna się pani na żartach?

– Hm. To miał być żart? Zresztą, jak pan chce. W każdym razie panie poszły zrobić zakupy na kolację dla całej rodziny. A jak wrócą, proszę przysłać chłopca tu do mnie razem z jego kuzynką Teddie! I Camille też!

W ciągu paru godzin od momentu swojego przybycia Pearl zdołała okiełznać panoszące

się w naszym domu sarkazm i lenistwo. Wysłuchawszy jej reprimendy, panowie bez dalszych protestów wyszli, żeby zabrać się do ustawiania szopki.

Tymczasem Pearl wyjęła z szafki dużą makutrę, pstryknęła palcami i nagle miska wypełniła się gotowym już ciastem. Co takiego? Nie mogłam w to uwierzyć! Jednym ruchem zerwałam z nosa okulary, przetarłam oczy i znowu wbiłam wzrok w makutrę. Jak najbardziej pełną ciasta. Po prostu niebywałe.

– A co pani myślała? Nie mam całego dnia na siekanie orzechów i papranie się w lepkich bakaliach – rzuciła Pearl. – Musimy wreszcie nauczyć ich wszystkich rozumu!

Chwilę później moje oczy zrobiły się jeszcze większe.

Pearl sięgnęła po mniejszą miskę i znowu pstryknęła palcami, a naczynie w ułamku sekundy nappełniło się zaczynem na ciasteczka z orzechami.

– To po prostu... jesteś niesamowita – zdołałam w końcu wykrztusić.

– Święta prawda! – Pearl mrugnęła do mnie. – Nie ma chwili do stracenia. A pamięta pani, ile nam to kiedyś zajmowało? Mój Boże! Siekało się te orzechy ze dwa bite miesiące!

Skinęła ręką w stronę trzeciej makutry, która natychmiast wypełniła się składnikami na rumowe kulki. Pearl nakryła wszystkie trzy miski ściereczkami do naczyń, obwiązała je wokół brzegu szpagatem i schowała do lodówki.

Tym razem przycisnęłam dłoń do piersi, żeby upewnić się, czy moje serce jest jeszcze na swoim miejscu. Ku mojemu zdumieniu nadal było. Czemu spodziewałam się czegoś innego? Zaczynałam się już przecież przyzwyczajać do paranormalnych wyczynów Pearl, co więcej, muszę przyznać, że byłam nimi szczerze ubawiona. Choć nadal ogromnie zaintrygowana. Zupełnie jakbym obserwowała magika wyciągającego króliki z kapelusza albo sprawiającego, że ludzie rozpływają się w powietrzu – zwyczajnie nieprawdopodobne! Spójrzmy prawdzie w oczy, Theodoro, powtarzałam sobie w myślach. Wszystko, co normalne, zostało za drzwiami tego domu z chwilą, gdy w jego progi wkroczyła Pearl!

– Mogę spytać, jak, po prostu jak, to zrobiłaś?

Pearl spojrzała w sufit, złożyła dłonie i uśmiechnęła się z absolutnie niewinną miną.

– Z niewielką pomocą moich anielskich przyjaciół.

– Hm. W każdym razie dobrze wiedzieć, że anielscy przyjaciele naprawdę istnieją. – Pearl popatrzyła na mnie spod oka, zupełnie jakby chciała przewiercić mnie spojrzeniem na wylot i sprawdzić, czy w moich żyłach nie płynie czasem pogańska krew, skoro w ogóle kwestionuję coś takiego. Odchrząknęłam więc i pospiesznie dodałam: – Nie, nie! Wierzę! Wierzę!

– Hm! No, ja myślę!

– Hm i tobie! A tak przy okazji, teraz mamy specjalną folię spożywczą, którą można owijać miski. Znajdziesz ją w tamtej szufladzie.

Pearl wysunęła szufladę i na widok pudełek z foliowymi torebkami w trzech różnych rozmiarach, rolką folii spożywczej i kolejną aluminiowej mruknęła:

– No proszę, kto by pomyślał? – Odwinęła długi kawałek folii spożywczej i próbowała go oderwać o ząbkowany brzeg pudełka, co oczywiście zakończyło się tym, że wszystko skleiło jej się razem w bezużyteczną kulkę. – Hm. Pieniądze wyrzucone w błoto, gdyby mnie kto

pytał!

– Och, moja droga, nawet nie masz pojęcia, jak wiele jest w dzisiejszym świecie rzeczy, które stanowią kompletną stratę czasu i pieniędzy.

– I to pewnie też szczerą prawdą!

– Nie uwierzyłybyś, jak żyją ludzie! Poczynając od tego przekłętą ogromnego telewizora w salonie! Wysoka rozdzielczość, cokolwiek to znaczy! Jego buczenie jest absolutnie ogłupiające. Jeżeli dorośli nie gapią się akurat na jakieś brutalne ponad wszelkie wyobrażenie sceny, dzieciaki grają na nim w gry wideo, które działają zupełnie jak narkotyk, zmieniający ludzi w idiotów, gdyby ktoś chciał znać moją opinię...

I tak ciągnęłam swoją diatribę przeciwko współczesnemu światu, który skazał na zapomnienie gry planszowe, puzzle i inne staromodne rozrywki. Takie rzeczy cementowały rodzinę w przeciwieństwie do tych wszystkich bezmyślnych zajęć, którym oddajemy się w samotności, a które nie tylko nie wzbogacają naszego życia nawet na jotę, ale co gorsza, oddalają ludzi od siebie. Pearl podzielała moje zdanie w tej kwestii. Z tym, że dodała też jeszcze od siebie:

– Pewnie musi pani zachodzić w głowę, kto na te wszystkie bzdury pozwala?

– Owszem – przytaknęłam. – Barbara i Cleland powinni położyć temu kres.

– A jeśli oni tego nie zrobią, kto powinien wziąć sprawę we własne ręce?

– Ja?

– Hm. Nie mnie o tym decydować. Rozmawiałyśmy jeszcze długo, popijając jedną herbatę za drugą, przy czym za każdym razem zawartość filiżanki Pearl była doprawiona kropelką jeżynowej brandy. Chociaż siedziałyśmy w kuchni, było zupełnie tak, jakbyśmy odgrodziły się od świata zewnętrznego w tylko naszym czasie i przestrzeni, żeby bez przeszkód omówić wszystkie sprawy, które składały się na ciężące mi brzemię.

– Oni nie lubią nawet czytać!

– Co takiego? Panie, miej litość! A czyja to wina? Bo przecie to grzech!

– Masz rację. – Westchnęłam ciężko. – Teraz to widzę. Masz absolutną rację. Powinnam była czytać Barbarze więcej, kiedy była mała.

Pearl popatrzyła na mnie z porozumiewawczym, nieco krzywym uśmiechem. Znowu przyparła mnie do muru. Ale Barbara popadła w jakiś marazm i zwyczajnie uchylała się od obowiązków. Nie, to nie tak! Barbara była zagubiona, ponieważ nie potrafiłam wskazać jej jasno i precyzyjnie właściwego kierunku. Nigdy nie zdołałam przywyknąć do życia bez Freda, toteż w pewnym sensie po prostu tkwiłam w tym domu beczynnym, czekając już tylko na śmierć. A teraz zrobiło mi się okropnie przykro na samą myśl, jak bardzo byłam pochłonięta wyłącznie swoimi sprawami.

Pearl poklepała mnie po dłoni, a potem wciągnęła powietrze w nozdrza.

– Niech się pani tak nie zadręcza. Przecież właśnie po to tu jestem, a na dokładkę wie pani co? Szynka gotowa!

Poczułam się trochę lepiej, choć moja dusza nadal pozostawała mocno udręczona.

Tymczasem Pearl wyjęła z piekarnika apetycznie wyglądającą glazurowaną szynkę z owocami i ustawiła ją na blacie. Nie jestem w stanie opisać słowami, jak bosko ta pieczeń

wyglądała. W tym momencie nie liczyło się nic poza nią! A jej zdjęcie spokojnie mogłoby trafić na okładkę jakiegoś kulinarnego czasopisma! Z trudem pokonałam przemożną chęć ukrojenia sobie plastra aromatycznego mięsa.

Czerwony ryż bulgotał w garnku, a zapach bekonu, cebuli i pomidorów podsyczał we mnie głód, jakiego nie czułam od lat. Co się dzieje? Gotujący się jarmuż pachniał, no cóż, jak to jarmuż. Czyli zwyczajnie cuchnął. Ale Pearl wiedziała, jak temu zaradzić. Hojną ręką dołąła do wody octu, żeby zabić nieprzyjemny zapach. A ja będę teraz konała z głodu aż do momentu, kiedy obiad wjedzie na stół.

Pearl nastawiła piekarnik na wyższą temperaturę, posypała marmurową stolnicę mąką i już wiedziałam, że zabiera się do przygotowywania maślanych bułeczek. Staromodna stolnica mojej matki, wmontowana w blat podczas koniecznego, choć niezbyt entuzjastycznie przez rodzinę przyjętego remontu kuchni trzy lata temu, do tej pory nie była używana. Chociaż Eliza miała spore zdolności kulinarne, jej bułeczki pochodziły z działu z pieczywem w pobliskim supermarkecie. Moja rodzina rzadko jadła węglowodany. Tak więc stolnica zostanie uroczyście ochrzczona ponownie przez Pearl.

– Za to poniekąd rzeczy wolę zrobić osobiście – wyjaśniła. – Cudownie móc znowu zanurzyć ręce w cieście.

Przy tych słowach wrzuciła kawałki schłodzonego masła do mąki, dodała szczyptę soli, po czym wymieszawszy wszystko pobieżnie, zrobiła w cieście wgłębienie i wlała do środka śmietanę. Potem wyrobiła całość starannie, zupełnie jakby przygotowywała glinę na rzeźbę, przewracając kulę ciasta parę razy i energicznie ją ugniatając.

– Może w takim razie ja nakryję do stołu – zaproponowałam, szczerze mówiąc, bardziej pod wpływem burczenia w brzuchu niż chęci bycia pomocną. – A ty przygotujesz naszą mannę z nieba.

Pearl zachichotała, uniosła lekko brew, a potem pstryknęła palcami nad swoją głową (przy którym to ruchu odrobina ciasta poszybowała w powietrze, gdzie rozplynęła się bez śladu).

– Gotowe! – rzuciła. – Stół zastawiony! A pani posiedzi tutaj i wreszcie pogadamy od serca! Noszenie talerzy to dla pani nie najlepsze zajęcie. No więc, proszę opowiedzieć Pearl o wszystkich swoich zmartwieniach.

Westchnęłam, czując większy niż kiedykolwiek w całym swoim życiu przyływ miłości do niej. Ile to już czasu minęło, odkąd ktokolwiek interesował się, co myślę, czym się martwię, czego pragnę? No, może czasami Eliza i Barbara.

– Cóż, sama chyba widziałaś, prawda? Mam dosyć własnej rodziny. Po pierwsze Barbara i Cleland. Nie wiem, co się tak naprawdę między nimi dzieje, ale z całą pewnością nie sprawiają wrażenia szczęśliwych. Barbara jest przemiłą osobą, ale może problem polega właśnie na tym, że nie potrafi rządzić. Postępować bardziej stanowczo. W stosunku do nich wszystkich. Matka powinna przewodzić całej rodzinie, a nie stać z boku, podczas gdy reszta traktuje się nawzajem paskudnie, nie sądzisz?

– Jak najbardziej. A powiedziała jej pani to?

– No cóż, nie wprost, ale z całą pewnością jej to zasugerowałam! Och, mój Boże, Barbara

wydaje się taka wystraszona, że, sama nie wiem... zresztą któż to wie? Może boi się, że Cleland ucieknie i ją zostawi albo coś w tym rodzaju...

– Żaden mężczyzna nie odszedł jeszcze od żony, jeśli miał dobry powód, by tego nie robić. Więc Barbara musi mu taki powód do zostania dać, proste, prawda?

– Oczywiście, masz rację. Ale znasz mnie. Zawsze podejrzewałam, że Cleland ożenił się z nią wyłącznie dla pieniędzy.

– Hm. Może tak, a może nie. W końcu przecież ciągle tu jest, co wcale nie oznacza, że Barbara nie może spróbować go oczarować, żeby mu pokazać, dlaczego powinien ją kochać, nieprawdaż?

– W banku nie zrobił zbyt wielkiej kariery...

– No tak, a wiadomo, jacy są mężczyźni. Swoją sukces oceniają pod kątem rodziny, majątku i tego, czy wyglądają na dość męskich w oczach przyjaciół. A jeżeli taki mężczyzna nie zarabia tyle, ile jego zdaniem powinien, a za żonę ma cichą myszkę, to jak może patrzeć na siebie w lustrze i być zadowolony z tego, co widzi?

– Masz rację. Nie może. – Upiłam łyk herbaty, obserwując, jak dłonie Pearl formują ciasto w idealnie równe porcje. Ta kobieta była niesamowita! – Zwraca się do niej z takim sarkazmem. Zupełny brak szacunku, zwłaszcza kiedy cała rzecz rozgrywa się w mojej obecności.

– A wszystko przez to, że ona mu na podobne brewerie pozwala. Zresztą pani też mogłaby mu powiedzieć to i owo do słuchu.

– Nie zamierzam wtrącać się do małżeństwa mojej córki. Barbara jest tak przygnębiona, że chyba nawet sama nie zdaje sobie z tego sprawy.

– A pani to nie?!

– Mój Boże, Pearl, masz całkowitą rację! Ja też jestem okropnie przygnębiona! I słusznie zauważyłaś, że Barbara pozwala Clelandowi zachowywać się w taki sposób! Zamierzam odbyć z nią poważną rozmowę, zanim ten dzień się skończy.

– Czyli jedna rzecz załatwiona. Dobrze, co więcej mamy do zrobienia?

– Jest jeszcze George i Lynette, i ta ich – na litość boską...

– Przecież dlatego tu jestem!

– No właśnie! To znaczy, przepraszam za to, co sobie pomyślałam o ich córeczce. A wracając do tematu, George to wyjątkowo przystojny mężczyzna...

– A jakże, wygląda całkiem jak Cary Grant!

– Rzeczywiście, za to charakter ma paskudny. Jest zawistny i łatwo wydaje sądy na temat bliźnich...

– Ta jego Lynette też mogłaby nabrać trochę odwagi...

– Święta racja! Poza tym mam na głowie jeszcze Camille, Graysona i ich ukochanego Andrew...

Opowiedziałam Pearl, jak Camille i Grayson odnosili się do siebie nawzajem, choć ona i tak znała już najdrobniejsze szczegóły tej historii. Podejrzewam, że po prostu chciała je usłyszeć ode mnie. Mimo wszystko kiedy skończyłam, westchnęła i potrząsnęła ze smutkiem głową.

– Nie jest dobrze. Ale niech się pani nie martwi. Przełożyła ryż i jarmuż do dwóch oddzielnych naczyń z pokrywką, pokroiła szynkę i ułożyła apetyczne plastry na półmisku, a na koniec wsunęła foremkę z keksem do niezbyt mocno nagrzanego piekarnika. Maślane bułeczki były tak gorące, że z trudem dało się je utrzymać w ręku, ale Pearl zgrabnie owinęła je lnianą ściereczką i umieściła w pięknym koszyczku z mrówki wonnej.

– Mogę? – spytałam, nagle ogarnięta przemożnym pragnieniem, żeby spróbować jej wypieku.

– Oczywiście, proszę bardzo.

– Dziękuję. – Pospiesznie odgryzłam pierwszy kęs. Skąd u mnie taki apetyt? Byłam głodna jak nastoletni chłopak! – Och, Pearl!

– Leciutkie jak piórko ze skrzydła cherubina, co? – Pearl podniosła wzrok do góry, złożywszy dłonie jak do modlitwy, a chwilę później nie wiadomo skąd pojawiło się maleńkie piórko. Zachichotałam niczym mała dziewczynka.

– Hm – mruknęła w odpowiedzi Pearl. – Sytuacja wcale nie przedstawia się tak wesoło! – Pomimo że oczywiście miała rację, sama też parsknęła śmiechem. – W porządku, ciasto musi posiedzieć w piekarniku ze dwie, trzy godziny – orzekła, wkładając czysty fartuch.

– Chcesz, żebym zawołała ich wszystkich na obiad?

– Nie, proszę pani.

– Pearl, nie musisz do mnie mówić „tak, proszę pani”, „nie, proszę pani” ani w ogóle „proszę pani”. Zresztą nikt się już dzisiaj nie przejmuje konwenansami.

– Pani Theodoro, może sobie pani mieć folię spożywczą, telewizor i mikrofalówkę, ale ja zostanę przy swoich zwyczajach, dobrze? Poza tym tu i teraz jestem fantastyczną czterdziestosiedmiolatką, a panienka jest dla mnie starszą panią. I to mocno starszą! Rozumiemy się?

Obie wybuchnęłyśmy gromkim śmiechem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio śmiałam się tak serdecznie!

A potem Pearl poklepała mnie po lodowatej ręce swoją ciepłą dłonią.

– Ja zawołam panią Barbarę, niech powie wszystkim, żeby zbierali swoje tyłki i siadali do stołu, ale już!

Och, na rany Chrystusa! Pearl to po prostu niezwykła kobieta i chociaż wiedziałam, że jej obecność w naszym domu przeczy wszelkim prawom logiki i świata materialnego, to jednak była tu ze mną, z nami, była. Znowu zaczęłam się zastanawiać, jak zdoła dokonać w nas tej przemiany, której wszyscy potrzebowaliśmy, a potem przypomniałam sobie, co Pearl mówiła o swoim tutaj przybyciu... Może ten obiad zdoła ruszyć sprawę z miejsca.

Natychmiast upomniałam się w duchu, że nie wolno mi tracić wiary.

Na temat umiejętności kulinarnych Pearl można by mówić godzinami. Po pierwsze od chwili jej śmierci znacznie się poprawiły. Co stało się jasne, gdy tylko zasiedliśmy do stołu na swoich zwykłych miejscach, a Cleland niespodzianie rozpoczął odmawianie w istic rekordowym tempie nieszczerzej, przypadkowej i bardzo zdawkowej modlitwy. Zgromadzona przy stole rodzinka, zwykle hałaśliwa jak cała zgraja piratów, tym razem siedziała cicho, pochłaniając – ale to dosłownie pochłaniając niczym stado wygłodniałych wilków –

zaserwowane przez Pearl dania.

Niestety, czar prysł, gdy tylko obiad dobiegł końca i Pearl zjawiała się w jadalni, żeby pozbierać talerze.

– Co to za zapach, Jewel? – zapytał George, odchyliwszy się na oparcie krzesła.

– Keks – odparła grzecznie Pearl. – A ja nazywam się Pearl.

– Połamiesz nogi w tym krześle, synu – przestrzegła Barbara, ale jak się można było tego spodziewać, została kompletnie zignorowana.

– Keks! No, nie! Nie znoszę keksa! – rzucił Cleland z dziecinnym grymasem, zapoczątkowując tym samym całą litanię pełnych niezadowolenia uwag.

– Eliza wspominała chyba, że masz na imię Jewel – zauważyła Barbara.

– Pewnie pomieszały się jej precjoza – podsunęła Pearl.

– Keks jest ohydny – wtrącił George.

– W takim razie nie musisz go jeść – oświadczyłam. – Ale zobaczymy, jak to z tym będzie, kiedy ciasto się upiecze. – Oczywiście, postawiłabym ostatecznie pieniądze na Pearl. I na pewno bym ich nie straciła.

– Niedługo przekonają się panowie do mojego keksa. – Pearl popatrzyła z uśmiechem na George'a i Clelanda. – A potem, kiedy nie zostanie już ani okruszka, jeszcze za nim zatęsknicie.

Teddie wymieniła z ojcem spojrzenia będące mieszaniną przerażenia i odrazy, po czym dla podkreślenia swojej dezaprobaty dodała jeszcze kilka głośnych odgłosów imitujących wymioty.

– Psyt, nie rób tak – upomniała ją ściszone głosem Lynette, przyciskając palec do ust. – To niekulturalne.

– Och, bardzo przepraszamy! Jakbyś sama pochodziła z arystokratycznej rodziny, co? – warknął George i spojrzał na Camille, oczekując wsparcia. – Wieśniaki.

Nawet Camille, ze swoim ociekającym jadem językiem żmii, uznała, że lepiej się nie wtrącać, i odwróciła wzrok.

Co się dzieje z tym Georgem? Zęby obrażać żonę przy wszystkich? Na dodatek w Wigilię? Posunął się o wiele za daleko.

Wyglądało jednak na to, że zachowanie George'a nie przeszkadzało nikomu poza mną i sami wiecie kim. Bo trzeba wam wiedzieć, że Pearl, która krzątała się po pokoju, nagle stanęła jak wryta, najwyraźniej nie wierząc własnym uszom. Zerknęłam na Barbarę w nadziei, że chociaż ona zareaguje. I rzeczywiście.

– To nie było zbyt miłe z twojej strony, George – powiedziała moja córka, odchrząknawszy lekko, jej reprimenda miała jednak taką siłę oddziaływania jak próba powalenia niedźwiedzia żdźbłem trawy. A sam George nie przejął się tym w najmniejszym stopniu.

– To niewybaczalne grubiaństwo – rzuciłam, wstając z krzesła. – Natychmiast przeproś.

George rzucił mi lodowate, pełne pogardy spojrzenie i przechyliwszy głowę w bok, popatrzył bez słowa na Lynette, która natychmiast zerwała się z płaczem od stołu.

– Dzieci, wy pójdziecie z nami – nakazałam swoim prawnukom.

Nawet nie pisnąwszy, Teddie i Andrew posłusznie ruszyli za mną i za Pearl do kuchni.

– Umyjcie ręce – poleciła im Pearl, wskazując na mniejszy zlew.

Dzieci bez słowa sprzeciwu wykonały jej polecenie, a ja pomyślałam sobie, że już samo to jest małym cudem. To znaczy przydybany w pojedynkę Andrew zwykle robił to, o co się go poprosiło, ale już w towarzystwie kuzynki często próbował wymigać się od obowiązków. Po prostu potrzebował nadzoru. Tym razem jednak mocno zaczerwieniona Teddie tylko zacisnęła wargi, co uświadomiło mi, że chyba po raz pierwszy w życiu musiała się wstydzić za zachowanie ojca. Zaczynała dorastać.

– A teraz siadajcie tu, na tych stołeczkach i przyszykujcie się, bo będziemy lepili ciasteczka – wyjaśniła Pearl, stawiając przed nimi blachę do pieczenia i miskę z ciastem.

– Pokażę wam, jak to się robi – zaproponowałam. – Kształtem powinny przypominać palce. Kiedy byłam mała, mówiliśmy na nie omszałe myszki!

– Blee! Ohyda! – zawołała Teddie, zsuwając się z taboretu. – Fuj! Idę oglądać telewizję.

Andrew, który zdążył już zwędzić kawałek ciasta i właśnie ze smakiem go pałaszował, rzucił do niej pomiędzy jednym mlaśnięciem a drugim:

– Pychota. Sama spróbuj!

– Zostajesz tam, gdzie jesteś, moja panno – powiedziała Pearl, a ton jej głosu nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że mówi serio. Ociągając się, Teddie wdrapała się z powrotem na taboret. Zawsze miała trudności z akceptowaniem autorytetów, ale tym razem chyba nie w tym tkwił problem. Pomyślałam, że może chciała uciec, żeby w samotności przetrwać grubiańskie zachowanie ojca albo hałasem z telewizora zagłuszyć ponure myśli. – Dziękuję bardzo, sir! – Pearl uśmiechnęła się do Andrew.

Teddie przełknęła odrobinę ciasta, potem większy kawałek, aż wreszcie wruszyła ramionami i stwierdziła:

– Może nie przepyszne, ale nie jest złe. Przypomina trochę lody o smaku biszkoptowym. Ile to zajmie?

– Aż skończymy – rzuciła Pearl.

Teddie wyduła wargi w gniewnym prychnięciu, które zabrzmiało jak cmoknięcie przez zęby.

– Więc co mam robić?

– To bardzo proste. – Uśmiechnęłam się do niej. Nareszcie jakiś sukces. Nabrałam łyżką ciasto, rozwałkowałam je w dłoniach, starannie skleiałam końce i położyłam gotowy wałeczek na blasze, po czym wręczyłam Andrew i Teddie po łyżce: – A teraz bierzemy się do roboty!

– Andrew dłubał w nosie – zameldowała natychmiast Teddie i zachichotała.

– Nieprawda!

– Prawda. Na własne oczy widziałam.

– Przestań się z nim drażnić, Teddie. Są święta! – upomniałam ją. – Andrew, przecież wiesz, że wolno ci oddawać się podobnym praktykom wyłącznie poza domem!

Oboje parsknęli śmiechem, po chwili dołączyłam do nich i ja.

Tymczasem Pearl, wznosząc błagalny wzrok do góry, zupełnie jakby prosiła o cierpliwość, oczyściła talerze z resztek jedzenia, włożyła je do zlewu i odkręciła kran, żeby

zanurzyć wszystko w gorącej spienionej wodzie. W tym momencie do kuchni wkroczyła Camille z resztą brudnych naczyń i otworzywszy zmywarkę, powiedziała do Pearl:

– Proszę po prostu wrzucić talerze tutaj.

– To źle robi na złocenia – orzekła krótko Pearl.

– Och, kto by się tym przejmował? – mruknęła Camille. – Kupi się nowe.

Barbara, która akurat weszła przez wahadłowe drzwi z tacą pełną kieliszków w objęciach, zdążyła jeszcze podchwycić ostatnie słowa Camille.

– Pearl ma rację – Usłyszałam swój własny głos. – Zresztą nie da się odkupić dokładnie takich samych. Ta porcelana należała do mojej matki. Prawda, Barbaro?

Błagam cię, dodałam przy tym w myślach, choć raz stań w obronie tradycji.

– No cóż, Camille, ta zastawa rzeczywiście należała do mojej babki. Czy nie jest piękna?

– Owszem – przytaknęła Camille, wpatrując się w seledynową obwódkę z delikatnymi prążkami i złoceniami, zupełnie jakby widziała to wszystko po raz pierwszy w życiu. – A tak DWW, George wydziera się teraz na górze na Lynette.

– DWW? – zdziwiła się Pearl.

– To taki skrót zwrotu „do waszej wiadomości”. Chcesz, żebym zamieniła słówko z George’em i Lynette? – zapytałam Barbarę. – Spróbowała trochę ich uspokoić?

– Nie – odparła ku mojemu zdumieniu. – Zdaje się, że to moje zadanie. – Zaraz potem jednak brak wiary w siebie i nerwowe splątanie dłoni powróciły. – Chociaż tak naprawdę Cleland zawsze lepiej potrafił przemówić George’owi do rozumu niż ja...

Pearl rzuciła mi znaczące spojrzenie. Nadeszła pora na matczyną przemowę.

Uniosłam podbródek, popatrzyłam Barbarze prosto w oczy i powiedziałam:

– Moim zdaniem to ty powinnaś kierować tą rodziną i nadawać jej ton. Cleland ma swój bank, a w naszym domu rządy musisz sprawować ty.

Barbara przeniosła wzrok na swoją córkę.

– Życzę powodzenia, mamó. Ale oni się nigdy nie zmieniają. George jest złośliwy zwyczajnie dlatego, że może, a Lynette to znosi, bo się go boi. Obrzydliwość – oznajmiła Camille, a potem sięgnęła po odrobinę ciasta. – Hej! To jest przepyszne! Potrzebujecie pomocy? – Nie czekając na odpowiedź, podeszła do zlewu, żeby umyć ręce.

Oczywiście miała rację albo przynajmniej takie wytłumaczenie wydawało się bardzo prawdopodobne.

– W końcu dzisiaj Wigilia Bożego Narodzenia, a przecież zdarzały się już dziwniejsze rzeczy – orzekła Pearl, najwyraźniej mając na myśli Camille zabierającą się z takim zapałem do pracy. – Niech pani idzie, pani Barbaro, i pokaże im, kto tu rządzi. I proszę im nie pozwalać na żadne grubiaństwa.

– No cóż, spróbuję. Obiad był przepyszny, Pearl. Dziękuję.

– Nie ma za co.

Kilka minut później hałas na górze jeszcze się wzmógł. Najpierw usłyszeliśmy grzmiącą gdzieś w oddali Barbarę, potem rozległ się głos Clelanda. Drzwi trzaskały, podłoga aż drżała pod ciężkimi krokami i tak bez końca. Wszyscy byliśmy tym bardzo zdenerwowani. Poza Pearl, która jako jedyna zachowała stoicki spokój.

– Dlaczego nie mogą po prostu żyć razem w zgodzie? – rzuciłam w powietrze.

– Nienawidzę, kiedy się kłócą – wybuchnęła oblana szkarłatnym rumieńcem Teddie, nawet nie próbując już powstrzymać łez. – Po prostu nienawidzę. To mnie doprowadza do szału.

Być może właśnie ten niekończący się konflikt rodziców leżał u podłoża jej złego zachowania, ale dotąd nie zastanawiałam się nad tym wiele. Z całą pewnością Teddie była ofiarą ciągłej manipulacji, by wybrać miłość ojca zamiast matki.

– Może nie wiedzą jak – wtrącił Andrew, a kiedy skupił na sobie spojrzenia wszystkich, dodał: – To znaczy żyć razem w zgodzie.

Camille popatrzyła na niego z uśmiechem tak przepełnionym miłością, że nawet Teddie to dostrzegła. I natychmiast się nadąsała. Była zazdrosna. Potrzebowała po prostu odrobiny uczucia i mądrego prowadzenia. Wyjęłam z kieszeni chusteczkę i otarłam jej twarz.

– Już dobrze, kochanie. Nie trzeba płakać. – Nagle załała mnie fala współczucia dla tego biednego, nieszczęśliwego stworzonka.

– W takim razie musimy ich nauczyć, jak należy się zachowywać, prawda, Teddie? – Pearl wyciągnęła rękę i pogładziła małą po plecach. – Wszystko będzie dobrze, złotko. Nie smuć się.

– Chciałabym, żeby ktoś mógł to zrobić – mruknęła markotnie Teddie, ale przestała płakać. – Żeby pani miała rację.

Zrobiło mi się strasznie żal tego dziecka. Z całą pewnością zasługiwało na spokojny dom. Tak naprawdę George i Lynette nie mieli przecież żadnych prawdziwych problemów, o których bym wiedziała, poza prostactwem George'a i jego skłonnością do znęcania się nad innymi.

Zaraz, zaraz! Niemal umknęła mi rzecz oczywista! Znajdowaliśmy się w kuchni, robiąc coś razem, a to przecież dopiero początek. Wręcz cudowny początek!

Upiekliliśmy mnóstwo ciasteczek i uformowaliśmy całą masę rumowych kulek. Pod koniec pracy, co zupełnie zrozumiałe, dzieci zaczęły się już niecierpliwić, więc powiedziałyśmy im, że mogą zmykać. Na dodatek u Camille nastąpił chyba nawrót zakupowego szaleństwa, bo wymówiła się koniecznością odwiedzenia jeszcze kilku sklepów.

Jednak zanim nasza kuchenna ekipa ostatecznie się rozstała, dzieci zgodnie orzekły, że ciasteczka z cukrem to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadły. Kiedy tylko pierwsza blacha została wyjęta z piekarnika, a upieczone na idealnie złocisty kolor ciasteczka odrobinę ostygły, Pearl obtoczyła dwa z nich w cukrze pudrze i podała je Teddie i Andrew razem ze szklanką mleka. Oboje byli wniebowzięci.

– Będziecie mogli zjeść wszystkie połamane – obiecała im Pearl.

– To może połamiemy parę – zaproponowała Teddie, ale wszyscy wiedzieliśmy, że chciała się w ten sposób tylko podroczyć.

– Ani mi się waźcie! – obruszyła się Pearl, ale ewidentnie potraktowała tę groźbę jako komplement.

Niestety, najwyraźniej Camille nie wyzbyła się jeszcze nieufności, bo aż zamrugła z niedowierzaniem oczami, kiedy Andrew i Teddie uściskali Pearl w pasie z całych sił.

– Jest okropna mgła, więc jedź ostrożnie – upomniałam Camille.

– Nie martw się, babciu! Jestem za młoda, żeby umierać!

– Lepiej nie kusić losu – skarciła ją Pearl z tak surową miną, że Camille aż zadrżała, po czym obiecała solennie:

– Nie będę.

A potem w końcu zostałyśmy z Pearl w kuchni tylko we dwie.

– Twardy orzech do zgryzienia, co? – powiedziałam. – Camille uwielbia łykać tabletki i robić zakupy. Z rozmachem.

– Jasne. Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Może będę też musiała się uciec do odrobiny magii gullah – zapowiedziała Pearl. – Ciekawe, czy to by było naruszenie tych przeklętych reguł? – Kilka sekund później jej oczy rozbłysły, zupełnie jakby przypomniała sobie o czymś.

– Hm. Zobaczymy. Będzie jeszcze gorzej, zanim nastąpi poprawa.

– Jak mogę ci pomóc?

– Proszę przygotować tę listę, a potem posłać z nią kogoś do sklepu. Potrzebuję dwie kwarty soku z granatów, kwartę pomarańczowego, trzy tuziny jaj, dwie kwarty tłustej bitej śmietany i paczkę cukru pudru. I świeżą gałkę muszkatołową.

Zapisałam wszystko najszybciej, jak mogłam, a potem popatrzyłam zmartwiona na nieforemne gryzmoły, zastanawiając się, jakim cudem ktokolwiek zdoła je rozczytać, skoro ja sama nie potrafię tego zrobić.

– Pearl?

– Och, proszę się tak nie przejmować!

Jedno pstryknięcie palców i moje zapiski natychmiast stały się czytelne. Kiedy wbijałam zdumiony wzrok w kartkę, Pearl zaczęła się śmiać tak serdecznie, że zgięta w pół aż poklepała się po udach.

– Jakim cudem... ?

– Bycie martwym ma swoje zalety!

– No cóż, dobrze wiedzieć. To znaczy, chyba...

– Och, niech mi pani da tę listę, sama wezmę ich do galopu! – Zabrała mi kartkę i zniknęła za drzwiami.

Okręciłam się na pięcie, z mocnym postanowieniem pochowania wszystkich tych smakołyków, które przygotowaliśmy, zamierzając podjąć też bohaterską próbę dokończenia zmywania, ale ku mojemu zdumieniu okazało się, że w kuchni panuje idealny porządek. Pearl musiała załatwić to przed wyjściem jednym pstryknięciem palców. Ciasteczka leżały rozłożone warstwami na półmisku, rumowe kulki tłoczyły się w połyskującej misie z rżniętego kryształu, a upieczony jeszcze zawczasu keks stygł na kuchennym blacie, rozsiewając wokół dokładnie ten sam cudowny aromat, który pamiętałam z czasów dzieciństwa.

Eksperci twierdzą, że ze wszystkich pięciu zmysłów węch jest najbardziej wyczulony. Jeśli chodzi o mnie, z całą pewnością się nie mylili. Natomiast moja droga przyjaciółka Pearl zdawała się używać całego ich mnóstwa. Co najmniej sześciu. Ze swoim szóstym zmysłem i kieszeniami pełnymi wszelkiego rodzaju magii gullah postawiła sobie za punkt honoru

zaprowadzić w tym domu miłość i porządek albo... „Wolałam nie myśleć o tym „albo”. Jeśli się jej powiedzie, nasza rodzina zdoła się wreszcie podźwignąć z otchłani zapiekłej niezgody. A przynajmniej taką miałam nadzieję. Och, jak gorąco się o to modliłam!

Ciekawe, na co jej tyle soku z granatów? Miałam się tego dowiedzieć przed osiemnastą jeszcze tego wieczoru.

Pearl musiała sobie narobić pęcherzy na palcach od tego ciągłego pstrykania, bo wszędzie zaczęły się pojawiać od lat niewidziane rodzinne skarby. Wyczarowana nie wiadomo skąd duża misa do ponczu mojej matki lśniła teraz tak, że można się było przejrzeć w jej gładkiej powierzchni. Z kolei babka ze strony mamy była właścicielką przepięknej łyżki wazowej, dotąd porastającej kurzem gdzieś w szkatule ze srebrami, skąd wydobyla ją Pearl i wypolerowała tak, że sztuciec stał się godny choćby królewskiego stołu. Oba te przedmioty spoczywały teraz na prostokątnej srebrnej tacy, której rodowodu jakoś nie mogłam sobie przypomnieć, ale której z całą pewnością nie widziałam od co najmniej trzydziestu lat. Pamiętałam tylko, że kiedyś należała ona do rodziny z Charlestonu, której protoplasta był jednym z sygnatariuszy Deklaracji Niepodległości. Cóż mogłoby być bardziej stosownego w takim dniu? Bez wątpienia czekała nas Wigilia o historycznym znaczeniu.

Wokół misy na poncz Pearl ustawiła tę samą zbieraninę rozmaitych grawerowanych szklaneczek do drinków, których używaliśmy podczas jednego z pierwszych małżeńskich przyjęć Barbary przed tak wielu laty. I podczas tylu innych okazji, kiedy cała nasza rodzina była znacznie szczęśliwsza niż obecnie, a wszystko wyglądało inaczej.

Muszę przyznać, że w tym momencie po cichu liczyłam już na zwycięstwo, mając tyle namacalnych dowodów na zmianę atmosfery w naszym domu. Szopka została wreszcie zainstalowana na zewnątrz i ku mojemu zdziwieniu każdy zdołał powiedzieć coś dobrego na jej temat, choć cała konstrukcja przechylała się mocno na jedną stronę. Ale co chyba ważniejsze, dzieciaki, a nawet sama Camille – choć nie wiem, czyby się do tego przyznali – odnaleźli podczas wspólnego pieczenia prawdziwą świąteczną radość z wzajemnego towarzystwa. A ja zajażałam przy tej okazji w głąb serduszka małej Teddie.

I znowu rodzinne pamiątki spoczywały na kredensie w jadalni obok kruchych ciasteczek, rumowych kulek i keksa. Cieszyłam się, że przynajmniej ta część tradycji została przywrócona do życia. A jeśli chodzi o ważniejsze sprawy, to oczywiście świąteczne dania i rodowe srebra są wspaniałe, jednak podejrzewałam, że wszystkich znacznie bardziej będzie interesować zawartość misy z ponczem.

Cała rodzina zgromadziła się już w jadalni, dorzucając jeszcze w ostatniej chwili prezenty pod choinkę przy dźwiękach kolęd w wykonaniu Canadian Brass. Chociaż nastrój panował świąteczny, byłam okropnie zdenerwowana, z niepokojem czekając, co przyniesie wieczór. Pearl musiała to wyczuć, bo zjawiała się z moim ulubionym koktajlem, ustawionym na tej samej eleganckiej tacy, której używała Eliza. Potem mrugnęła do mnie i zwróciła się w stronę reszty.

– Zechcą państwo spróbować ponczu? Według starego przepisu gullah mojej matki, która przygotowywała go zawsze na specjalne okazje. Jest bardzo smaczny.

– Oczywiście – powiedziała Barbara. – A mogą go pić dzieci, nie ma w nim żadnych

specjalnych składników? To znaczy, czy nie jest doprawiony alkoholem?

– Pani Barbaro? – Pearl wybuchnęła perlistym śmiechem. – Oczywiście, że mój poncz nadaje się do picia dla dzieci. Tak naprawdę, im więcej go każdy wypije, tym lepiej!

Cały czas z trudem hamowała rozbawienie. A ja wiedziałam, czemu śmieje się niemal do rozpuku. Oczywiście, że w ponczu znalazły się dodatkowe składniki, tyle że nie z tego świata.

– Kapka rumu na pewno nie zawadzi – zauważył Cleland i przyniósł sobie z barku do stołu butelkę.

– To już pański wybór, proszę pana – odparła Pearl. Poszłam razem z nią do kuchni.

– Co za mieszanka jest w tej misie?

– Nazywamy to ponczem prawdy.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że cała rodzina musi wyjaśnić sobie wreszcie wszystkie zadawnione urazy. Na pani miejscu poprzestałabym na bourbonie albo wodzie z lodem. Mogą potrzebować bezstronnego sędziego.

Zaintrygowana jej wyjaśnieniami wróciłam do jadalni, gdzie wszyscy czekali już tylko na mnie. Teddie i George spróbowali ponczu jako pierwsi, wyglądało jednak na to, że trunek nie wywołał u nich żadnego szczególnego efektu. Pozostali też uraczyli się szklaneczką, potem następną. Camille, która miała skłonność do przesady w praktycznie każdej dziedzinie, oczywiście wypila dwa razy więcej od innych.

– To jest przepyszne! – oznajmiła przy okazji.

Ja pozostałam przy swoim koktajlu i sączyłam go wolniej niż jakiegokolwiek drinka w ciągu ostatnich dwudziestu lat. A może nawet dłużej. Cały czas zastanawiałam się tylko, co nas jeszcze dzisiaj czeka.

W końcu zasiedliśmy do kolacji. Pierwszym daniem była zupa krem z krabów, po niej na stole pojawiła się potrawka z krewetek w towarzystwie białego ryżu. W naszej rodzinie zawsze podawało się owoce morza na wieczrę wigilijną i chociaż dzieci nie bardzo za nimi przepadały, w ten jeden wieczór nawet im do głowy nie przyszło protestować czy narzekać. Duże koszyki, pełne lekkich jak piórko maślanych bułeczek Pearl, krążyły bezustannie wokół stołu, a zamiast wodą czy winem wszyscy raczyli się ponczem.

Niezależnie od tego, jak bardzo nieszczerze mogłoby się to wydawać obserwatorowi z zewnątrz, Cleland odmówił jedną ze swoich skromniutkich modlitw, po której nastąpiły toasty na cześć samych świąt i poszczególnych członków rodziny. Aż wreszcie ujęłam w dłoń łyżkę i wieczera się rozpoczęła. Początkowo wymiana zdań toczyła się dosyć spokojnie, ale szybko zauważyłam, że twarz Camille drga lekko w nerwowym tiku. Niepokoiło mnie to, postanowiłam więc skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Co chciałabyś dostać od Świętego Mikołaja, Teddie? – zapytałam, modląc się w duchu, żeby jej odpowiedź nie popsowała Andrew całego wieczoru.

– Ciuchy i różne takie. Jestem za duża na zabawki.

– A ja nie – wtrącił Andrew.

– I kolczyki – dodała Teddie.

– Masz jeszcze za mało lat, żebyś mogła przekłuć sobie uszy – orzekła Lynette, która

sama ma po co najmniej cztery dziurki w każdym.

– Wcale nie!

– No cóż, twój tata uważa inaczej – odparła Lynette.

– Nie ma potrzeby, żebyś się tak okaleczała – burknął George. – A co potem? Tatuaż? Bomba numer jeden czekała gotowa do odpalenia.

– Phi – prychnęła Camille. – Z całą pewnością nie byłby to napis „Kocham tatusia”.

Teddie ze smutną buzią odłożyła łyżkę. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego George tak ostro sprzeciwiał się pomysłowi z przekłuciem uszu, ale może liczył, że w ten sposób zdoła jakimś cudem zatrzymać proces jej dorastania. A co do uwagi Camille, to uznałam po prostu, że musiałam ją źle zrozumieć, i ponownie podjęłam temat.

– A ty o czym marzysz, Andrew? – zapytałam.

– O rowerze górskim. Wszystkie chłopaki już mają. Pora na kolejną petardę.

– A gdyby twoi koledzy postanowili skoczyć z mostu na Cooper River, też byś to zrobił?

– Ten idiotyczny i złośliwy banał oczywiście mógł paść z ust tylko George’a!

– Jasne, że nie. – Andrew zmarszczył brwi, a potem opuścił wzrok na swoje kolana. Wiedział, że choć to Wigilia, znalazł się na nieprzyjaznym gruncie.

– No, trochę ruchu by ci się przydało – orzekła Teddie i zachichotała. Nikt jej nie zawtórował, więc aż pobladła z zażenowania, ale czyż nie brała przykładu ze swojego ojca?

– Wiesz co? Jesteś odrażający – powiedziała w tym momencie Camille do George’a. – Nigdy nie będzie końca tej twojej schadenfreude? Wystarczy, że twoja mała córka ma ... uhm, sadystyczne skłonności. Ale jeśli wziąć pod uwagę, kim jesteś, nikogo nie powinno chyba dziwić, że najwyraźniej idzie w twoje ślady.

Zaszokowany George gwałtownie zamknął usta. Na szczęście Teddie nie zwróciła chyba większej uwagi na słowa ciotki, bo z pewnością zaczęłyby krzyczeć, jak ktoś mógł tak o niej powiedzieć. Na dodatek, dobry Boże, schadenfreude?! Czyżby George rzeczywiście znajdował przyjemność w patrzeniu na cierpienie innych? Nie słyszałam tego określenia od lat! Najlepiej od razu wyrzucić podobne myśli z głowy!

– Ktoś ma jeszcze ochotę na poncz? – zapytałam.

– Jasne, babciu, dzięki – Camille zgłosiła się natychmiast. – A skoro już jesteśmy przy zimnych draniach... Tato, widziałam cię dzisiaj na lunchu w Peninsula Grill.

Cleland zająknął się lekko, zanim wreszcie wykrztusił:

– To było spotkanie w sprawach służbowych.

– Jasne, już w to wierzę.

Barbara popatrzyła na męża, a potem przeniosła wzrok na córkę.

– Może porozmawiamy o koleżankach taty z pracy innym razem. A teraz chętnie napiłabym się jeszcze ponczu. Przyniesiesz mi trochę, kochanie? – Podała swoją szklankę George’owi.

– Oczywiście. – George podniósł się ze swojego miejsca. – A nie przyszło ci nigdy do głowy, że może jednym z powodów, dla których tata miewa koleżanki, jest fakt, że zachowujesz się jak wszechwładna królowa lodowego zamku.

– To niezbyt miłe z twojej strony mówić podobne rzeczy w Wigilię, George –

próbowałam go mitygować.

– Wszystko w porządku, synu – odparł Cleland. – Ożeniłem się z waszą matką dla jej zamku, ale ona o to nie dba.

Twarz Barbary oblała się szkarłatem, w oczach zalśniły jej łzy.

– Clelandzie, wiem, co robisz i gdzie chadzasz. To naprawdę bez znaczenia. Kocham cię i zawsze będę kochała. Chciałabym tylko, żebyś myślał o mnie inaczej. I mniej pił.

– Ty i te twoje umoralniające gadki – rzucił gniewnym tonem Cleland.

– Ja też bym piła, gdyby mój mąż się łajdaczył – wtrąciła Lynette w idiotycznej próbie wsparcia Barbary.

– Przecież to właśnie robi. – Camille nie omieszkała dorzucić kolejnej tego wieczoru drwiącej uwagi.

– Och, zamknij się, Camille – uciszył ją George. – Może zabierzesz ten swój nafaszerowany pigułami tyłek na zakupy i wydasz jeszcze trochę forsy, co?!

– Sklepy są już zamknięte – przypomniała Lynette.

– Świat nie kończy się dzisiaj – burknęła Camille.

Co w sercu, to na języku. Byłam tym wszystkim przerażona. Uświadomiłam sobie, że skoro poncz zmusza całą moją rodzinę do mówienia tak bolesnej prawdy, jedynie Barbara i Andrew zdają się nie mieć nic do ukrycia.

– Zdradasz mnie, George? – obruszyła się Lynette. – Jestem przecież mężczyzną, prawda? – prychnął George, a potem zwrócił się do Clelanda: – Nauczyłem się tego od ciebie, tatusiu. Potrzebowałem aż trzech małżeństw i obserwacji, jak obojętnie traktujesz mamę, ale wreszcie to zrozumiałem. Wcale nie trzeba kochać kobiet, żeby rodziły nam dzieci.

– Naprawdę? – odezwała się Lynette.

– Aha, naprawdę! – burknął George.

– Prawdziwa zakała rodziny z ciebie, na dodatek zimny... nie będę się brzydko wyrażał przy damach – odparł Cleland. – Ale chyba wiesz, o czym mówię. Zdajesz sobie w ogóle sprawę, ile wstydu nam przysparzasz?

– Ja? Ja zakała rodziny? Zarabiam pięć razy więcej od ciebie! A ty co osiągnąłeś w życiu?

– Nie kochasz mnie, George? – Lynette podniosła się z krzesła. – W porządku, w takim razie mam dla ciebie interesującą wiadomość, Georgie. Z życzeniami wesołych świąt! Teddie nie jest twoja!

– Co? Co? Tatusi nie jest moim tatusiem? – Teddie zaczęła kopać w stół, wprawiając w drżenie całą zastawę.

W tym momencie zerwał się wiatr, zawodzący zupełnie jak poprzedniego wieczoru, a ja miałam wrażenie, że ściany trzęsą się w napadzie gniewu i odrazy.

– To bez znaczenia, czy tatusi jest twoim biologicznym ojcem, słonko – powiedziała Camille. – Jesteś dokładnie taka sama jak on.

– Tak? A mój tata mówi, że Andrew nie ma tatusia, bo nienawidzisz mężczyzn. Wujek Grayson cię zostawił przez to, że ciągle robisz zakupy! A Andrew jest taki głupi, bo cały czas chodzisz naćpana.

– Moja mamusia wcale nie chodzi naćpana, a ja wcale nie jestem głupi! – Andrew

wybuchnął bardzo widowiskowo fontanną łez. – A myślicie, że ja to mam łatwo? Umiem zbudować Chrysler Building z klocków lego, ale nie potrafię dobrze odczytać wskazówek, jak postawić najprostszy fort! A w klasie... koledzy się ze mnie śmieją, kiedy mam coś czytać, chociaż potrafię powtórzyć z pamięci słowo w słowo wszystko, co usłyszałem... czasami tak sobie myślę, że chciałbym umrzeć. Normalnie umrzeć.

– Nie mówisz tego poważnie, Andrew – wyjąkała Camille. – Błagam cię, nie mów tak.

– Głupek! Głupek! Mały tłusty głupek! – Teddie zaczęła podśpiewywać w najbardziej odrażający z możliwych sposobów.

– Zamknij się! – wrzasnęła Camille.

Lynette chwyciła córkę za ramię, żeby ją uciszyć, a ja poczułam narastającą panikę. Co się tu na miłość boską wyprawia? To po prostu okropne! Wszyscy mówili takie wstrętne rzeczy, których nigdy nie będą już sobie w stanie wybaczyć! Pearl się myliła. Tak bardzo się myliła! Czubkiem pantofla nacisnęłam brzęczyk pod dywanem obok swojego krzesła, żeby przywołać ją z kuchni. Barbara też miała do swojej dyspozycji taki brzęczyk, ale w tych nerwach pewnie nawet nie pomyślała, żeby go użyć. A jakby tego wszystkiego było mało, szyby w oknach zaczęły znowu drżeć i, przysięgam na Boga, myślałam, że tym razem już na pewno powypadają z ram i rozbijają się na podłodze w drobny mak!

– Cudowna z nas rodzinka, co? – mruknęła Camille, a potem zwróciła się do Teddie. – Coś ci powiem, ty mała bezczelna gówniario niewiadomego pochodzenia, mój Andrew nie jest głupkiem, w przeciwieństwie do ciebie. A mąż nie zostawił mnie z powodu pieniędzy.

Gdzie ta Pearl?

– Sądzę... – powiedziałam głośno.

– Co? – rzucili wszyscy jednocześnie.

– Sądzę, że powinniście natychmiast zakończyć tę wymianę obelg, bo potem możecie tego żałować.

W tym momencie pojawiła się Pearl i, jak łatwo się domyślić, pstryknęła palcami w powietrzu. Zapadła cisza. Wszyscy jakby nagle stracili głos i ochotę do kłótni. Moja rodzina, oczywiście poza Barbarą i Andrew, udowodniła po raz kolejny, że stanowi zbieraninę naprawdę odrażających ludzi. Czy znajdowali się pod wpływem czegoś w rodzaju hipnozy? Bez wątplenia! Czy to postęp? Szczerze wątpię.

Tymczasem Pearl postawiła wazę na kredensie, a potem zebrała talerze i zaczęła nalewać do nich zupę z krabów.

– I jak im idzie? – zapytała szeptem, stawiając przede mną talerz.

– Przecież sama wiesz... Pearl, co ty wyprawiasz? To najgorsze święta w całym moim życiu. Proszę cię, niech to się wreszcie skończy!

Byłam wściekła. Na dodatek Pearl, która doskonale zdawała sobie sprawę, że wszystko się we mnie gotuje ze złości, miała czelność się do mnie uśmiechnąć. Co więcej, musiała położyć pudełka chusteczek higienicznych na obu krańcach stołu, bo teraz nie tylko Andrew, ale też Barbara, Teddie, Camille i Lynette cicho płakały. Na twarzach George'a i Clelanda malowały się niepokój i konsternacja, a ja sama byłam wręcz na skraju hysterii. Cała ta sytuacja zwyczajnie mnie przerosła. Wszystkie co do jednego obrazy w jadalni wisiały teraz

krzywo, kątem oka dostrzegłam też, że nawet choinkowe lampki oszalały, migając trzy razy szybciej niż zwykle.

– Spokojnie – mruknęła Pearl.

Kiedy postawiła na stole ostatni talerz z zupą, ponownie napełniła wszystkie szklanki ponczem i wyszła. Wszyscy natychmiast zabrali się do jedzenia, wymieniając przy tym obojętne uwagi i sprawiając wrażenie, jakby byli w jakimś transie.

– To najlepsza zupa z krabów, jaką kiedykolwiek jadłam – oświadczyła Barbara.

– Święta prawda – przytaknął Cleland.

– O tak – zawtórowała reszta.

Zupa rzeczywiście była przepyszna, ale kto w takiej sytuacji zwracałby uwagę na coś takiego? Przyjrzałam się po kolei ich twarzom. Po policzkach kobiet i dzieci wciąż spływały łzy, jednak zupa zniknęła z ich talerzy tak szybko, jakby był to ich pierwszy posiłek od wielu miesięcy. George i Cleland, z twarzami zastygniętymi w jakimś ponurym grymasie, też pochłaniali danie niczym zagłodzeni biedacy.

Nie było najmniejszych wątpliwości – ten poncz wprowadził ich w odmienny stan świadomości. Oto mieli przed sobą jak na dłoni wszystkie swoje grzechy i tajemnice, a przynajmniej liczyłam na to, że wszystkie.

Pearl pojawiła się znowu, żeby posprzątać ze stołu. W milczeniu pokroiła keks i nałożyła go na deserowe talerzyki, dokładając do każdego kawałka dwie rumowe kulki, kruche ciasteczko i porcję bitej śmietany.

Kiedy deser również zniknął z talerzy, czyli w błyskawicznym tempie, wszyscy po kolei, jedno po drugim, zaczęli wstawać od stołu, zdjęci nagłym atakiem ziewania. Cleland bez słowa opuścił jadalnię, zaraz za nim wyszła Barbara. Camille ujęła rękę Andrew, który w ostatniej chwili wyjął z klosza rumową kulkę, podał ją matce, po czym chwycił jeszcze jedną dla siebie. George zerknął ukradkiem na Lynette, potem przeniósł wzrok na córkę.

Jego rozgoryczenie zdawało się topnieć niczym śnieg w słońcu, a kiedy ziewnął, otwierając usta tak szeroko, że bez problemu mógłby połknąć Jonasza razem z wielorybem, z jego twarzy zniknął ślad wszelkich emocji. Bez słowa otoczył żonę ramieniem, wziął Teddie za rękę i nagle zostałam przy stole zupełnie sama.

Spojrzałam na zegarek. Północ! Jak to szybko zleciało. Ponownie nacisnęłam stopą brzęczyk.

Pearl pojawiła się natychmiast nie wiadomo skąd, trzymając w dłoniach srebrną tacę, na której stały szklaneczka jeżynowej brandy i jeszcze jeden miętowy julep. Sięgnęłam po mój drink, Pearl wzięła do ręki swoją szklankę.

– Mamy Boże Narodzenie, pani Theodoro! Wesółych świąt!

– Jesteś tego pewna? – rzuciłam gorzko. – Czy naprawdę zapowiadają się wesołe?

– Tak pewna, jak nigdy niczego w całym swoim życiu ani nawet potem...

Co do tego nadal miałam jednak poważne wątpliwości.

Część trzecia

Boże Narodzenie

Przypomniałam sobie, że nadeszło Boże Narodzenie, gdy tylko pierwsze promienie słońca liznęły koldrę w nogach mojego łóżka. Od razu poczułam, że coś się zmieniło, oczywiście jeśli nie liczyć obecności Pearl i całego towarzyszącego temu dramatu. Brakowało normalnych odgłosów poranka. W całym domu panowała niesamowita cisza.

Boso i, przynajmniej bez bicia, nieco niepewnie podeszłam do okna wychodzącego na tyły domu, po czym przetałam dłonią zamrażającą szybę. Mgła ustąpiła, a temperatura najwyraźniej mocno spadła, bo ku mojemu zdumieniu wszystko było przykryte kilkucentymetrową warstwą bielutkiego puchu. Ręką koszuli nocnej wypolerowałam do czysta szkła okularów i znowu wyjrzałam na świat. Wzrok mnie nie mylił. W nocy spadł śnieg. Niebo wciąż zasnuwał gruby kożuch szarych chmur, z których, co ważniejsze, ciągle spływały w dół białe płatki. Sceneria żywcem wyjęta z obrazków Curriera & Ivesa.

A potem, jak wam się wydaje, co zauważyłam? Wspaniałego czerwonego kardynała, który przysiadł na pokrytej śniegiem gałęzi dębu. Jego piękne upierzenie odcinało się ostro na tle całej tej bieli. Zupełnie jakby przyfrunął tutaj wyłącznie po to, żebym mogła go podziwiać. Zastukałam w szybę, chcąc przyciągnąć jego uwagę. I rzeczywiście, ptak spojrzął na mnie, przechylił głowę najpierw w jedną stronę, potem w drugą, aż wreszcie zerwał się do lotu. Z ust wyrwał mi się śmiech pełen czysto dziecięcej radości. Mamy białe święta! I do tego ten czerwony kardynał! Po prostu cudownie.

Zaczynałam się powoli rozchmurzać, kiedy nagle z całą wyrazistością przypomniał mi się wczorajszy wieczór. Wigilijna wieczerza okazała się kompletną katastrofą. Wątpiłam, czy moja rodzina będzie się jeszcze w stanie cieszyć z czegokolwiek... chociaż Pearl zapewniała mnie przecież bez przerwy, że ma niezawodny plan. Obiecywała, że wszystko będzie dobrze. Łatwo jej mówić, w każdym razie jak na razie nie widziałam w tej sytuacji nic pozytywnego. Och! Tyle niepotrzebnego bólu, który zadawali sobie nawzajem! I dlaczego? Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że Pearl się nie myliła. Modliłam się o to z całego serca.

Choć szczerze mówiąc, nadal żywiłam co do tego poważne wątpliwości. Zdawałam sobie sprawę, że nadeszła pora, by wesprzeć Barbarę. Ta rodzina potrzebowała silnej kobiety u steru, i to jak najszybciej, nie chciałam się jednak zbyt wtrącać, żeby nie podważać autorytetu swojej córki, choćby tak słabiutkiego jak dotychczas. Pearl nie mogła wystąpić w tej roli, bo przecież już nie żyła, zresztą nie zostanie tu przecież z nami długo. Naprawdę najwyższy czas, żeby Barbara wyszła z cienia. A ja chętnie bym jej w tym pomogła. Tylko w jaki sposób?

Po dłuższym namyśle uznałam, że najlepsze wyjście to zachowywać się tak, jakby wczoraj nic się nie wydarzyło. Zejdę na śniadanie, będę miła dla wszystkich, a przy okazji ocenię sytuację. Dzięki temu zdołam się zorientować, jakie, jeśli w ogóle jakiegokolwiek, kroki należy przedsięwziąć. Jeżeli plan Pearl zawiedzie, razem z Barbarą wezwiemy wszystkich członków rodziny po kolei przed nasze oblicze. A ta tutaj starsza pani pokaże im, gdzie raki zimują.

– Lepiej zabrać się od razu do rzeczy – mruknęłam do czterech ścian swojej pustej sypialni.

Ciekawe, jaki wpływ będzie miał ten biały puch na przebieg dzisiejszego dnia. W wielu

miejscach parę centymetrów śniegu to praktycznie nic, zaledwie drobna niedogodność. Ale u nas, w Karolinie Południowej, to wręcz katastrofa, mogąca odciąć Charleston od reszty świata, zupełnie jakby już teraz tak nie było. W całym moim życiu widziałam śnieg tylko kilka razy. I nigdy więcej niż piętnaście centymetrów. Chociaż zwykle jeden wystarczał, żeby sparaliżować wszelkie życie.

Odrobinę trudniejsze warunki atmosferyczne i władze już podejmują decyzję o zamknięciu mostów i wiaduktów, zwłaszcza podczas silnej wichury z możliwością wystąpienia huraganu lub tornada. Ale parę centymetrów śniegu? Och, dobry Boże! Można by pomyśleć, że w mieście szaleje dżuma albo inna zaraza! Gubernator ogłasza stan pogotowia, a wszystkie drogi o najmniejszym choćby spadku są wyłączane z ruchu, dopóki służby drogowe nie oczyszczą ich starannie i nie posypią piaskiem. A prawda wygląda tak, że w Karolinie Południowej każda ilość śniegu zazwyczaj topi się jeszcze przed nadejściem południa. Za to wszyscy mają radosne, mokre święta z dzieciakami lepiącymi miniaturowe bałwanki ze śnieżek. A ponieważ dzisiaj przypadało Boże Narodzenie, większość firm i instytucji i tak była zamknięta.

Postanowiłam, że po zejściu na dół wspomnę coś o pogodzie, bo to chyba jedyny temat, który mogłam bezpiecznie poruszyć.

Ubrałam się w przepiękną sukienkę z białej wełny i dobrany do niej żakiet z perłowymi guziczkami o złotej obwódce. Te guziki mają symboliczne znaczenie, pomyślałam, wkładając czółenka na niskim obcasie, których gumowe podeszwy powinny uchronić mnie przed upadkiem, gdybym zdecydowała się wyjść na zewnątrz. Buty były w spokojnym, stalowym kolorze, klasycznym, a jednocześnie wyjątkowo praktycznym. Włosy zczesalam jak zwykle w kok, ale uznałam, że taka okazja wymaga też odrobiny perfum. Nie używałam ich, podobnie jak wody kolońskiej, od wielu miesięcy, może nawet lat. Teraz jednak ruszyłam na dół do kuchni w mgiełce jaśminowego zapachu, zadowolona, że jak na kobietę w moim wieku wyglądam całkiem szykownie.

Dochodziła ósma. Dziwne, ale dom był nadal pogrążony we śnie i tylko z kuchni napływały zapachy świadczące, że Pearl zabrała się już do pracy.

Ostrożnie pokonałam ostatnie stopnie schodów, a potem przecięłam hol, poprawiając wiszące krzywo obrazy, najpierw jeden, potem drugi. Wszystko było poprzekrzywiane po szaleństwie ostatniej nocy, poczułam jednak przypływ odwagi. Nastął nowy dzień. Mój Boże, zamierzałam dołożyć wszelkich starań, by okazał się pełen nadziei.

Jadalnia wyglądała wspaniale. Na stole stały przystrojone zielonymi gałązkami talerze z drobną siateczką spękań w glazurze pokrywającej duże ręcznie malowane magnolie. Obrazu dopełniały kieliszki z ciemnozielonego kryształu. Gdzie też Pearl je znalazła? Te cudeńka wchodziły w skład mojej zastawy ślubnej. A Pearl, prawdziwa poławiaczka skarbów, postanowiła ich zapewne użyć, żeby przypomnieć mi Freda i szczęśliwsze czasy. Przesunęłam palcami wzdłuż brzeżku jednego z talerzy, rozmyślając o tym, jak bardzo mój mąż je lubił – tak nieodparcie południowe w swoim wzornictwie. Fred uwielbiał historię, wszystko, co dotyczyło Południa, i mnie. Nagle zatęskniłam za nim tak mocno, że miałam wręcz wrażenie, jakby stanął u mojego boku. Ale kiedy obejrzałam się za siebie, chcąc

poszukać go wzrokiem, nikogo tam nie było.

Popatrzyłam znów na stół. Pośrodku stała wiktoriańska piętrowa patera ze srebra mojej matki, kolejne świadectwo niegdyś eleganckiego życia naszej rodziny. Nie widziałam jej od tylu lat. Wysoko na samej górze leżały czerwone jabłka, wypolerowane do połysku, poza krawędzie naczynia zwieszały się kiście zielonych winogron. Trzy boczne misy pełne były najrozmaitszych gatunków orzechów, umieszczonych na posłaniu z hiszpańskiego mchu. Stół prezentował się po prostu wspaniale, obwieszczając powrót elegancji i dystyngowanych manier, a wszystko to dzięki inwencji i przemyślności mojej starej przyjaciółki.

Pchnęłam drzwi do kuchni, gdzie Pearl już na mnie czekała. Oczywiście nie miałam zamiaru jej zdradzać, że moim zdaniem prowadziła naszą rodzinę ku widowiskowej katastrofie.

– Wesołych świąt! – zawołałam od progu. – Widziałas, ile śniegu napadało?

– Wesołych świąt, pani Theodoro! Wesołych świąt! Widziałam, ale to akurat nie moja sprawa!

– Nie mów mi, że nie...

– Nie, proszę pani, ten biały puch to prezent od moich niebiańskich przyjaciół z działu pogody – odparła z uśmiechem. – Może herbaty?

W piekarniku tkwiła już zapiekanka z kromek nasączonego jajkiem chleba, poprzekładanych warstwami mielonego mięsa i startego na tarce ostrego cheddara. Nie jadłam takiej od wieków, więc nie mogłam się już doczekać, kiedy spróbuję dzieła Pearl. Na pewno okaże się fantastyczne. Blacha z maślanymi bułeczkami czekała już na swoją kolejkę do pieczenia, kasza perkotała w garnku, na blacie stała też miska ze świeżo uszykowaną sałatką owocową, a dopiero co zaparzona kawa naciągała w dzbanku. Powietrze było tak pełne aromatów, że nie mieściło mi się w głowie, jak ktokolwiek może jeszcze spać!

– Gorąca herbata to świetny pomysł. Z mnóstwem śmietanki poproszę. Jesteś naprawdę niesamowita, Pearl! Wszystko wygląda po prostu... sama nie wiem, zupełnie jak za dawnych czasów! Bardzo ci dziękuję.

– Ja też tęsknię za dawnymi czasami, jasne? To dla mnie przyjemność móc przywrócić je znowu do życia.

– No właśnie... – urwałam z ciężkim westchnieniem, nie po raz pierwszy zastanawiając się, czy całe to piękno zdoła wyrzucić jakikolwiek wpływ na moją rodzinę. – Ktoś oprócz mnie już wstał?

– Nic mi o tym nie wiadomo, za to Święty Mikołaj zdążył wpaść z wizytą. – Podkręciła gaz pod imbrykiem, żeby doprowadzić wodę do wrzenia.

– Coś takiego? No oczywiście. Mój Boże, jestem taka stara, że w ogóle zapomniałam sprawdzić! Zaraz wracam!

Okręciłam się na pięcie i pospieszyłam do salonu. W dzieciństwie oboje z Gordiem pędziliśmy zawsze o pierwszym brzasku obejrzeć swój łup! Przepychaliśmy się przy tym po drodze, żeby złapać swoją skarpetę z kominka i wysypać jej zawartość na podłogę... ale to było całe wieki temu. Wspomnienie tamtego podniecenia szybko zbladło, kiedy dotarłam do salonu.

Barbara stała przy kominku, samotna i zaniedbana w swoim pikowanym szlafroku, wkładając jeszcze jakieś paczuszki do świątecznych skarpet. Znowu ogarnęło mnie przygnębienie. Pod choinką nie czekał na Andrew rower. Czyżby Camille zapomniała? A może po prostu ukryła prezent gdzie indziej? Jeśli do kolacji nie pojawi się tu żadne dwukołowe cudencko, narysuję je Andrew, a jutro wybierzemy się razem na zakupy. Z radością zostanę jego nadprogramowym Świętym Mikołajem.

– Wesołych świąt, kochanie – powiedziałam, delikatnie całując Barbarę w policzek. – Jak się dzisiaj miewasz?

– No cóż, szczerze mówiąc niezbyt dobrze. Wesołych świąt, mamó – dodała. Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte. Pewnie całą noc przepłakała. – Ciągle próbuję się uporać z tym, co się stało przy kolacji. Szczerze to jedno, ale wczoraj byłam świadkiem okrucieństwa, przerażającego okrucieństwa swojego męża, dzieci... Zwyczajnie nie wiem, co z tym wszystkim począć. Jeszcze nigdy nie czułam się tak bezradna! Nawet moja wnuczka zachowywała się paskudnie wobec biednego Andrew... Co robić?

– Musimy porozmawiać z nimi na temat wybaczenia innym i życzliwości. Och, moja najdroższa dziewczynko! Widzę, jak bardzo cierpisz, a wszystko to w dużej mierze moja wina.

– Dlaczego tak mówisz? Jesteś wspaniałą matką!

– Nie, kochanie. Byłam zbyt leniwa. Miałam tyle okazji, żeby spróbować ci pomóc, ale tego nie zrobiłam. Odkąd Fred...

– Wiem. Nic już nie wygląda tak samo.

– Owszem, ale mój czas żałoby się skończył, Barbaro. To prawda, a teraz chciałabym ci powiedzieć, że zawsze, kiedy będziesz mnie potrzebowała, stanę po twojej stronie. Trzeba pomóc Camille, Lynette też przydałoby się twoje wsparcie. Musimy z nimi porozmawiać, podsunąć wskazówki, jak wyznaczać nowe reguły postępowania dla dzieci, zwłaszcza dla Teddie. A co do George'a, to chętnie sprawiłabym mu... no cóż, urządę mu prawdziwe piekło na ziemi, jeśli właśnie tego sobie życzysz. Zrobię to, przecież wiesz!

Z płaczem tak głośnym, że mogłby obudzić zmarłych, jakby ci w ogóle spali, Barbara rzuciła mi się na szyję i zaczęła ścisnąć tak mocno, aż zaczęłam się bać, że połamię mi żebra. Siąkała przy tym nosem, więc ciągle zamknięta w niedźwiedzim uścisku odszukałam w kieszeni chusteczkę i wcisnęłam jej do ręki. Barbara wypuściła mnie w końcu z objęć, wydmuchała nos, po czym posłała mi nieśmiały uśmiech.

– A co z Clelandem? Jemu też urządysz piekło?

– Jeśli o niego chodzi, to jesteśmy już w połowie drogi – odparłam.

– Skoro tak twierdzisz. – Najwyraźniej kompletnie nie wiedziała, o czym mówię.

– Masz w zanadrzu potężną broń i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– Cóż to niby takiego?

– A na przykład mój testament. Chociaż tak naprawdę nie chodzi o to „co”, tylko raczej „kto”!

Barbara zapaliła lampki na choince, a te natychmiast zaczęły mrugać jak szalone. Stałyśmy przez chwilę w milczeniu, obserwując to wariactwo, aż w końcu czubkiem pantofla

zwyczajnie wyciągnęłam wtyczkę z kontaktu.

– Okropne, prawda? – spytała Barbara.

– Gorzej – mruknęłam. – Chodź. Najwyższa pora rozmówić się z Pearl.

Barbara niechętnie ruszyła za mną do kuchni, szurając przy tym kapciami i mocniej zaciągając pasek szlafroka wokół talii.

– Chyba przydałaby mi się filiżanka kawy – przyznała. Dziwne, że nie ubrała się odświętnie w taki dzień.

W naszym domu nie było zwyczaju schodzenia na dół w pizamie czy koszuli, no, chyba że kogoś dopadła grypa albo inna przypadłość. Ale Barbara była, co zrozumiałe, bardzo przygnębiona, więc pewnie ten jeden raz postanowiła dać sobie spokój z dobrymi manierami. Choć, jak mawia młodzież, powinna się jednak zebrać do kupy. Tout de suite!

I zaraz się do tego zabierzemy.

– Wesołych świąt, pani Barbaro! – powitała nas Pearl, gdy tylko weszliśmy do kuchni. – Ależ pięknie pani dzisiaj wygląda!

Kiedy spojrzałam na córkę, okazało się, że jest ubrana w cudowną spódnicę z białej dzianiny i kaszmirowy sweter. Włosy miała zaczesane do tyłu w fale, makijaż sprawiał wrażenie nałożonego profesjonalnie. Wyglądała niczym oszałamiająca piękność, jak jeszcze nigdy dotąd. Nawet w dniu swojego ślubu!

Roześmiałam się radośnie, a potem powiedziałam do Pearl:

– Wiesz co, jeśli nie skończysz wreszcie z tymi sztuczkami, przyprawisz nas wszystkich o zawał serca.

Pearl klasnęła w dłonie, a potem zgięta wpół atakiem serdecznego śmiechu, poklepała się po udach.

– Wesołych świąt, pani Barbaro! Pomyślałam, że przyda się pani jakiś nowy, modny strój na tę okazję!

– Wesołych świąt, Pearl... co? – Barbara omiotła zdumionym spojrzeniem swoje ubranie i buty. – Jakim cudem... – wydusiła, kompletnie oszołomiona. – To znaczy, co u licha?

– Musimy wyjaśnić sobie parę spraw – odparła Pearl. – Nie ma czasu do stracenia! Potrzebuje pani pomocy!

Kiedy obie z Pearl wyjawiliśmy Barbarze całą prawdę na temat ostatnich zdarzeń, wysłuchała nas uważnie, często prosząc o powtórzenie tej czy innej informacji. Z całą pewnością poznawszy tożsamość i zdolności Pearl, była równie zdumiona jak ja, ale od razu wyraziła też gotowość wsparcia nas w dziele zjednoczenia całej rodziny.

– Wspomniałaś chyba, że...

– Owszem – odpowiadała w takich momentach Pearl.

– A teraz przejdźmy do tego, co powinna pani zrobić...

Tuż przed dziewiątą w drzwiach kuchni stanął Cleland, starannie ogolony, ale ubrany w stary sweter i wymięte spodnie – z całą pewnością najmniej odświętny strój, jaki można sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę okazję.

Barbara podała mu z uśmiechem filiżankę kawy, przygotowanej dokładnie tak, jak lubił, i powiedziała:

– Wesołych świąt, kochanie! Zaraz idziemy do kościoła, więc biegnij szybciotko włożyć marynarkę i krawat. Ojej, ależ ty ładnie pachniesz! Obudź też przy okazji resztę. Powiedz im, że prezenty otwieramy dopiero po mszy, więc niech się ubiorą ładnie i schodzą na śniadanie! W porządku? – Posłała mu najśłodszy uśmiech, jaki miała w swoim repertuarze, a potem wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek. – Dziękuję, kochanie!

Cleland najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć, więc też życzył jej radosnych świąt, a potem odwzajemnił pocałunek.

– Muszę przyznać, że wyglądasz dziś, e... , jakoś inaczej!

– Dzięki! Dzieciaki?

– Uh, oczywiście – mruknął, odwracając się na pięcie.

– Hm, nie sądzisz, że dzieci podniosą straszny raban? Kościół? Spóźniony Mikołaj?

– A proszę bardzo! Możesz zrzucić winę na mnie! – oświadczyła twardo Barbara. – To mój dom!

Cleland popatrzył na nią ze zdumieniem, a potem na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

– I tak trzymaj! – rzucił jeszcze na odchodne i w końcu zostawił nas same.

– Szacunek! Jeden załatwiony, zostało tylko kilkoro – powiedziała Pearl i polizawszy palec wskazujący, zrobiła nim ruch w powietrzu, jakby stawiała kreskę na nieistniejącej tablicy z punktacją.

– Aż nie chce mi się wierzyć, że nie wszczął o to kłótni! – nie mogła się nadziwić Barbara.

– Hm – mruknęła Pearl. – Był przecież chłopcem na długo przedtem, nim stał się mężczyzną, prawda?

– Pearl ma rację – wtrąciłam. – To znaczy, w każdym mężczyźnie tkwi jakaś cząstka chłopca, który chce, żeby się nim zaopiekować, tak jak w każdej kobiecie drzemie mała dziewczynka.

– O ile biedaczka ma czas, żeby ją w sobie odnaleźć! – roześmiała się Pearl.

– Święte słowa! – przytaknęła Barbara i też parsknęła śmiechem.

A potem szarpnęła za oporne drzwi do salonu i zasunęła je tak, żeby nie było widać choinki ani leżących pod nią prezentów, natomiast Pearl zajęła się ustawianiem śniadaniowych przysmaków na kredensie. Zaraz potem pozostali członkowie rodziny, ubrani w stroje stosowne do okazji, ale z trudem ukrywający niezadowolenie, zaczęli schodzić do jadalni i napelniwszy talerze, zasiadali przy stole, żeby zupełnie tak jak wczoraj, błyskawicznie pochłonąć swoje porcje.

– Nie mam ochoty iść do kościoła – odezwał się George, zaczepny jak zawsze.

– George – powiedziała spokojnie Lynette – uważam, że to bardzo ważne dla Teddie.

Jak mógłby się spierać z takim argumentem?

– A moim zdaniem wspólna modlitwa jest bardzo ważna dla całej naszej rodziny – zauważyła Barbara. – Niezależnie od tego, co wszyscy sądzicie na ten temat. Otrzymaliśmy tak wiele błogosławieństw... a poza tym mamy białe Boże Narodzenie. Sam spacer do kościoła i z powrotem będzie cudownym przeżyciem!

Jak ktokolwiek mógłby temu zaprzeczyć? Wyglądało na to, że w końcu zaczynamy robić postępy, szybko jednak problemy pojawiły się znowu, a rozmowa powróciła do punktu, w którym się zakończyła podczas wigilijnej wieczerzy.

Zdoławszy wreszcie zmusić George'a, żeby razem ze wszystkimi poszedł do kościoła, Lynette postanowiła przypomnieć mu jeszcze o sprawie, w której powinien błagać o przebaczenie, kiedy już się tam znajdzie.

– Ciągłe nie mogę uwierzyć w to, co powiedziałeś wczoraj wieczorem, George!

– Daj spokój, Lynette. A co z rewelacjami, którymi ty uraczyłaś mnie?

– Mój braciszek i jego uroczą żonę – mruknęła Camille i popatrzyła na mnie, wydymając wargi w pełnym sarkazmu grymasie.

Zgromiłam ją wzrokiem. Już miałam na końcu języka jakąś małą mówkę w stylu „dosyć tego dobrego”, kiedy Barbara podniosła się ze swojego krzesła.

– Posłuchajcie. Natychmiast przestańcie wygadywać te wszystkie okropieństwa. Mam wam coś ważnego do zakomunikowania. – Skinęła głową Clelandowi, George'owi i Lynette, po czym odwróciła się w stronę Camille. – A więc sprawy mają się następująco. Po pierwsze Camille? Jesteś moją jedyną córką, ale kochanie... – wymówiła to słowo tak miękko, że zrobiło mi się ciepłej na sercu – spójrzmy prawdzie w oczy. Masz spore problemy.

– A ty niby jesteś ideałem? – sarknęła Camille ewidentnie wyzywającym tonem.

– Psyt, nie tobie o tym decydować. Jestem matką w tej rodzinie. Pora, żebyśmy wszyscy wzięli się w garść albo nie będzie już żadnej rodziny. Niestety, George i Teddie mają rację, jeśli chodzi o twoje kłopoty finansowe, choć nie powinni w ogóle poruszać tego tematu. A prawda wygląda tak, że od lat daję Graysonowi pieniądze na spłatę twoich długów. Twój mąż czuł się zgorzony tą rozrzutnością i... no cóż, bądźmy szczerzy, lekomanią. Nie mógł już tego dłużej znieść. A dotąd nie wystąpił jeszcze o rozwód i prawa do opieki nad synem tylko dlatego, że cię kocha. I chce, żebyś zaczęła się leczyć. Jemu na tobie zależy, Camille. Tak jak i mnie. Poza tym wszyscy kochamy Andrew, a Grayson wręcz go uwielbia. Naprawdę uwielbia. I dlatego zaraz po Nowym Roku rozpoczynasz terapię odwykową. Andrew zamieszka tymczasem z nami, do szkoły też pójdzie w Charleston. Wszystko już załatwione.

– A widzicie? – Teddie uśmiechnęła się złośliwie.

– Zamknij tę swoją niewyparzoną buzię, moja panno – upomniała ją Barbara spokojnym tonem. – Od tej chwili będziesz pamiętać o dobrych manierach i szacunku dla starszych albo nie masz co liczyć na gwiazdkowe prezenty! Żadne!

Zagniewane oczy Teddie natychmiast wypełniły się łzami, zupełnie jakby babka wymierzyła jej policzek. Dziewczynka wyduła wargi i skrzyżowała ramiona, prezentując nam wszystkie elementy opryskliwego języka ciała, poza rzuceniem się na podłogę w porządnym ataku hysterii, jednak wszyscy ją zignorowali. Wszyscy poza George'em, który ku zaskoczeniu całej rodziny i chyba samej Teddie powiedział:

– Uspokój się, mała. Babcia ma rację.

George często był niezdolny, ale miał też dosyć oleju w głowie, żeby wyczuć zmianę kierunku politycznych wiatrów.

– Graysonowi na mnie zależy? – wymamrotała Camille, a potem, kiedy dotarł do niej

wreszcie sens słów matki na temat leczenia, prychnęła gniewnie: – Chwileczkę. Nigdzie się nie wybieram.

– Wręcz przeciwnie, moja droga. Tak przy okazji, zaprosiłam Graysona na obiad dziś po południu. A ty masz w swojej torebce więcej lekarstw niż... niejedna apteka! Zostaw sobie tyle, żeby wystarczyło ci na sześć dni, a resztę oddaj mnie. Karty kredytowe też. Musisz to zrobić dla dobra swojej rodziny.

– Nie jestem pewna...

– Dosyć gadania – poparł żonę Cleland. – Zrobisz dokładnie tak, jak każe matka. Dla dobra swojej rodziny.

Najwyraźniej postanowił włączyć się w to zbożne dzieło!

– W porządku – powiedziała w końcu Camille, zerknąwszy na Andrew. Widać było wyraźnie, że przepełniają ją wątpliwości, czy zdoła pokonać uzależnienie. Kiedy jednak położyła na szali taką próbę i prawdopodobieństwo utraty syna, decyzja mogła być tylko jedna. – Spróbuję. Musi mi się udać.

Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu byłam przekonana, że się nie myli. Dostrzegłam w niej też chęć pogodzenia się z mężem. Wiedziałam, że kocha Graysona. A co ważniejsze, zrobiła wreszcie pierwszy krok we właściwym kierunku – zaakceptowała fakt, że to ona ma problem, a nie wszyscy dookoła niej.

Tymczasem Barbara zajęła się już George'em.

– A teraz parę słów do ciebie, synu. Lynette jest twoją żoną, Teddie to wasza córka, koniec, kropka. Wy też stanowicie rodzinę. Dlatego postanowiłam was upomnieć.

Macie żyć zgodnie, szanować się nawzajem, a piątego stycznia wysyłam całą waszą trójkę do poradni małżeńskiej. Przyjadę do Charlotte i pójdę tam z wami, jeśli będę musiała. Rozumiemy się?

– Ja też tego dopilnuję – dodał Cleland. – Słuchaj się matki, George. Mądrze mówi.

Mąż Barbary zdradzał wszelkie symptomy natchnionego objawienia. Jego wsparcie nie było wszystkim, czego pragnęłam dla Barbary – a mam tu na myśli miłość i wierność – ale z całą pewnością stanowiło dobry początek. Barbara aż promieniowała pewnością siebie.

– Lynette, znam kogoś, z kim powinnaś chyba porozmawiać o wszystkim, co cię gnębi... psychiczne maltretowanie, ciągłe diety, rodzicielstwo, potrzeba szacunku... co tylko chcesz. Ta kobieta z pewnością pomoże ci się z tym uporać. A teraz, ma ktoś może jeszcze ochotę na maślane bułeczki?

– Owszem, ja bardzo chętnie – powiedziałam, a potem wymieniliśmy z Barbarą uśmiechy pełne takiego ciepła i wzajemnej troski, że aż pokraśniałam z dumy.

Nacisnęłam stopą brzęczyk. Pearl zjawiała się natychmiast, ubrana w czarną sukienkę, fartuszek z falbanką i nakrochmalony czepek, cała w uśmiechach.

– Co podać, pani Barbaro?

Celowo zwróciła się do mojej córki, jakby zatwierdzając w ten sposób jej nowo ustanowiony autorytet.

– Wszystko było wyśmienite, Pearl. Po prostu chciałam ci podziękować za to wspaniałe świąteczne śniadanie.

– Ależ proszę bardzo, pani Barbaro! Życzę państwu wesołych świąt!
– Wesołych świąt – zawtórowała reszta, choć z różnym entuzjazmem.
– Na nas już chyba pora! – zakomenderowała Barbara, bo dzwony wszystkich kościołów w Charleston zaczynały zwoływać wiernych na mszę.

Z rezygnacją przyjąwszy nowy porządek dnia Teddie, George i Camille ruszyli po swoje wierzchnie okrycia, pomrukując przy tym pod nosem. Andrew, Lynette, Barbara i Cleland zabrali się do tego ze znacznie większym zapałem.

– Im szybciej znajdziemy się w kościele, tym szybciej stamtąd wrócimy i będziemy mogli sprawdzić, co nam przyniósł Mikołaj – powiedziała do córki Lynette.

– Mikołaj, wielka mi rzecz – prychnęła Teddie. – Kogo obchodzi ten stary zgred?

– Moja panno, od dzisiaj nie używamy takiego języka! – upomniała ją łagodnie Barbara.

Usłyszawszy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin więcej reprymend niż przez trzydzieści parę lat swojego życia, George wymamrotał pod nosem:

– Kto umarł i zrobił naszą mamuszkę szefem?

– Naprawdę nie chciałbyś usłyszeć odpowiedzi na to pytanie – skwitowała krótko jego głupi żart. – A teraz już idźcie, jak zgodna rodzina. I zmówcie modlitwę w moim imieniu, dobrze?

– Nie wybierzesz się razem z nami, mamó? – zapytała Barbara z cieniem niepokoju w głosie.

– Poradzisz sobie beze mnie – wyjaśniłam. – A Pearl przyda się moja pomoc.

Barbara skinęła głową, najwyraźniej ufając mojemu rozsądkowi, a potem pocałowała mnie w policzek.

– Kocham cię, mamó – szepnęła. – Naprawdę mocno. Minęło już tyle czasu, odkąd ostatni raz słyszałam te słowa. Serce zabiło mi gwałtowniej. Miałam ochotę rozplakać się z radości.

– Ja też cię kocham, Barbaro. I jestem z ciebie bardzo dumna. A teraz zmykaj!

Pearl dołączyła do mnie przy drzwiach wyjściowych, skąd już razem obserwowaliśmy, jak cała rodzina oddala się powoli oblodzonym chodnikiem. W pewnym momencie Barbara i Cleland nagle przystanęli, a Barbara podparła się dłońmi pod boki. Nie słyszałyśmy, co mówią, ale o to mogłam spytać Barbarę później. W każdym razie w wyniku tej wymiany zdań Cleland otoczył żonę ramieniem i wyglądało na to, że przynajmniej na razie postanowił zachowywać się przyzwoicie.

Kiedy zniknęli nam z oczu, Pearl przeniosła wzrok na szopkę, a potem rzuciła mi wiele mówiące spojrzenie.

– Jeden porządny podmuch wiatru i cała ta prowizorka rozpadnie się jak domek z kart – orzekła.

I miała rację. Stajenka przechylała się na lewo, a w żłóbku brakowało Dzieciątka. Wyjątkowo smutny widok.

– Co z tym zrobimy? – zapytałam.

– Hm! Proszę patrzeć uważnie... – Pearl wciągnęła powietrze do płuc, a rachityczna konstrukcja natychmiast przechyliła się w naszą stronę i wreszcie stanęła prosto. Potem

wzdłuż jej krawędzi, na zewnątrz i od środka, rozbłysły lampki, a nim zdążyłam mrugnąć okiem, w złóbku pojawiła się postać owiniętego w pieluszki niemowlęcia.

– Ta lalka to największy hit na rynku zabawkarskim w tym roku. Ta wasza Teddie zapłacze się na śmierć, kiedy ją zobaczy. Pod choinką mam do niej jeszcze zestaw ubranek i całą resztę.

– Teddie twierdzi, że jest już za duża na zabawę lalkami – odparłam z rozbawieniem.

– Hm! – mruknęła Pearl, a potem doskonale naśladowując sposób mówienia zwykłego łobuziaka z ulicy, ze śmiechem wygłosiła najmądrzejsze słowa, jakie padły z jej ust podczas tej wizyty: – Dzieciak będzie miał teraz nielichą zagwozdkę, co?

– Dokładnie! Masz rację! Biedna Teddie! Ale czyż nie można tego powiedzieć o nich wszystkich? Co teraz?

– Choinka!

– Hurra! Idziemy!

Pospiesznie zawróciliśmy do środka i otworzyliśmy drzwi od salonu, które z racji wieku oraz ogólnego stanu zaniedbania zwykle stawiały przy tej czynności spory opór. Dzisiaj jednak wyglądało to zupełnie tak, jakby jakaś niewidzialna ręka naoliwiła łożyska, na których poruszały się ich skrzydła. Zresztą może rzeczywiście tak właśnie było! W każdym razie zaraz potem aż cofnęliśmy się na widok szkaradziejstwa, które ukazało się naszym oczom. Z całą pewnością daleko mu było do choinek Białego Domu.

– Do stu tysięcy wyliniałych kocurów i sparszywiałych kundli! To najbrzydsza rzecz, jaką w całym swoim życiu widziałam! Przed, w trakcie, a nawet po! – krzyknęła Pearl i zaczęła się śmiać. – Ooo! Dobry Boże, ratunku! No, Panie Boże, trzeba to zaraz naprawić! Do dzieła! OOOOCH!

Przy tych słowach zaczerpnęła głęboko powietrza, uniosła ręce ponad głowę, a na koniec pstryknęła palcami. Choinka zniknęła w obłoku dymu, a na jej miejscu stała teraz przepisowa ponadtrzymetrowa jodła balsamiczna, opleciona długimi łańcuchami z perełek i rozświetlona tysiącami maleńkich złotych lampek. A wszystkie cenne ozdoby, które są w naszej rodzinie od lat, wisiały dokładnie w tych miejscach, co trzeba. Niezwykły wyczyn. I bez wątpienia najpiękniejsze drzewko, jakie zdobiło ten dom.

– Pearl! Ta choinka jest cudowna! Nigdy nie widziałam... – aż westchnęłam. – Pearl! Gdzie się podziały nosorożce-baleriny? I te paskudne elfy?

– Zniknęły! Ot, tak, fiu! – Spojrzała na mnie z miną psotnego chochlika, co nie było łatwe u kogoś jej rozmiarów.

– Pearl?

Och, Pearl potrafiła zachowywać się jak prawdziwa diablica, kiedy tylko miała na to ochotę! Wiedziałam, że Camille będzie zdruzgotana zniknięciem swojej choinki. Znowu zaczną się niesnaski!

– Tylko żartowałam! Więc tak, już miałam posłać ją do wielkiego pieca w niebie, ale w końcu przeniosłam wszystko do bocznego saloniku. Te idiotyczne ozdoby też tam są!

Nie tracąc więcej czasu na wyjaśnienia, pstryknęła palcami i popioły z paleniska wyfrunęły przez komin, a ze stosu świeżych polan strzeliły w górę płomienie. W ułamku

sekundy stary, pełen przeciągów pokój wypełniło ciepło trzaskającego ognia. Gzyms kominka nikał pod natłokiem staromodnych girland, bożonarodzeniowe wieńce zdobiły okna, każdy z czerwoną atlasową kokardą. Wszystko było jak za czasów mojego dzieciństwa.

– Pani Theodoro, to ta sama wstążka. Zawsze powtarzam, nie wyrzucaj tego, co dobre! Pokażemy im, jak się urządza prawdziwe święta!

– Jestem z tobą, maleńka! Co dalej? – Czułam się tak, jakbym znowu miała trzydzieści pięć lat.

Pearl wbiła badawcze spojrzenie w stos pakunków pod choinką i nagle zaczęły się tam pojawiać nowe paczki, a stare zmieniać kształty i karteczki z imionami. Naprawdę niezwykły widok!

Potem papier pakowy na wszystkich prezentach przybrał opalizującą barwę kości słoniowej, a każde pudełko opasywała teraz wstążka z czerwonej satyny. Zaczynałam dostrzegać formujący się już temat przewodni. To było Boże Narodzenie Pearl.

Kiedy szłam za nią do jadalni, skinęła palcem w stronę poręczy schodów, a potem wysokiego trema w holu i oto wszędzie wisiały ozdobione czerwonymi kokardami z satyny girlandy. Pearl przystanęła jeszcze na chwilę, żeby przy okazji poprawiania ozdób zerknąć w lustro.

– Niedługo tu skończę! Muszę jeszcze podać obiad na stół, jeśli nie masz nic przeciwko? Hm!

– Z kim rozmawiasz? – zdziwiłam się.

– Z panną odmierzającą czas, a z kimże by innym? Pora już późna, więc lepiej bierzmy się do roboty! Reszta będzie tu z powrotem za niecałą godzinę!

– Jak mogę ci pomóc?

– Nijak. Przecież pani wie, że sama dam sobie radę – a nie, chwileczkę! Gdzie jest Biblia pani babki?

– Dobry Boże! Zdaje się, że leży gdzieś w dolnej szufladzie kredensu! Czemu?

– Cóż to za pytanie? I co na miłość boską ona tam robi?

– A jak myślisz? Bo moja bezbożna rodzina nie mogła znieść jej widoku! Pewnie wzbudzała w nich poczucie winy, niech Pan ma ich w swojej opiece.

– W takim razie to będzie pani zadanie. Proszę ją położyć tak, jak kiedyś robiła to pani mama. A ja pójdę przygotować Eggnog Pojednania.

– Jaki eggnog?

– Pojednania! Muszę mieć pewność, że kiedy się pogodzą, to już na dobre, prawda? A teraz niech się pani pospieszy!

Zanim zniknęła w kuchni, zmierzyła jeszcze uważnym spojrzeniem stół, na którym zaraz pojawiła się nie wiadomo skąd nasza rodzinna szopka. Oczywiście w otoczeniu zielonych gałązek i wotywnych świec.

– Hm! – mruknęłam.

– Hmm i pani! – odparła ze śmiechem Pearl.

Kiedy zostałam sama, uklęknęłam na podłodze, żeby przeszukać dolne szuflady kredensu. W końcu znalazłam Biblię w tej najbardziej odpornej, najtrudniejszej do otwarcia. Przy okazji

natknęłam się też na pogniecione obrusy, ogarki świeczek przechowywane na wypadek, gdyby huragan zerwał kable elektryczne, papierowe serwetki i nigdy nieużywane obrączki do nich. Wyciągnąwszy Pismo Święte spośród tego śmietniska, pomyślałam, że skoro już i tak klęczę, równie dobrze mogę odmówić krótką modlitwę, wyszeptałam więc cicho:

Panie Boże, jeżeli zobaczysz gdzieś mojego Freda, czy możesz mu przekazać, że życzę mu wesołych świąt i że go kocham? A gdyby to nie był zbyt duży kłopot, czy mógłbyś go także poprosić, żeby spróbował być dzisiaj przydatny i, no wiesz, postarał się nam pomóc? To samo tyczy się też wszystkich moich zmarłych krewnych i przyjaciół. Dzięki Ci, Panie. Amen.

Przy wstawianiu kolana niemal omówiły mi posłuszeństwa, ale jakoś udało mi się pozbierać bez żadnego wypadku.

Przesunęłam czule dłońią po czerwonej skórzanej okładce Biblii. Nagle zalała mnie fala wspomnień – wspólne z Gordiem oglądanie obrazków na długo przedtem, nim nauczyliśmy się składać razem literki, babcia czytająca nam wybrane fragmenty i historia Adama i Ewy, która wystraszyła nas niemal na śmierć; pięknie kaligrafowany tekst, moje niepomierne zadziwienie kształtem liter i złoceńiami, kiedy sama zaczęłam wreszcie zgłębiać tajniki pisania kursywą. Ta Biblia stanowiła część naszych codziennych zajęć w równym stopniu, co żeliwna patelnia mojej matki.

Zerknęłam w stronę umieszczonego w rogu jadalni stołu, gdzie zwykle spoczywać w okresie Bożego Narodzenia Pismo Święte. W tym roku nie powinno być inaczej. Tłoczyły się tam co prawda srebrne ramki ze zdjęciami z rodzinnych wakacji i innych ważnych wydarzeń, ale te spokojnie mogły poleżeć sobie w szufladzie do końca świąt. Ciekawe, czy reszta rodziny będzie miała coś przeciwko temu. Jeśli zgłoszą jakieś zastrzeżenia, wygarnę im prosto w oczy, że w Bożym Narodzeniu nie chodzi o wspomnianie zabaw na plaży, udanego połowu czy widoku z wieży Eiffla. Boże Narodzenie to poważna sprawa. I Biblia musi znajdować się na honorowym miejscu, koniec, kropka. Potrzebna mi była jeszcze srebrna taca, na której mogłabym ją położyć, ruszyłam więc do kuchni i energicznie pchnęłam drzwi.

– Proszę. – Pearl wręczyła mi dokładnie tę tacę, o której myślałam.

– Dzięki – powiedziałam, ciesząc się w duchu, że Pearl nie posłała mi jej drogą powietrzną, bo spokojnie mogłabym stracić głowę!

Położyłam tacę dokładnie pośrodku stolika, po czym otworzyłam Biblię na Ewangelii Świętego Łukasza w miejscu, gdzie znajdowała się moja ukochana opowieść o narodzinach Jezusa. Potem rozejrzałam się w poszukiwaniu lichtarzy, a kiedy nie znalazłam żadnego, który mogłabym zabrać, nie ogołacając przy tym stołu czy innego kącika, udałam się po pomoc do Pearl.

– Potrzebuję...

– Wiem. – Pearl wskazała na blat, gdzie czekały już na mnie cztery srebrne świeczniki i taka sama liczba woskowych świec. Następnie sięgnęła po dużą misę z egnogiem i ustawivszy ją na tacy, jednym dmuchnięciem, wymagającym nie więcej wysiłku niż zgaszenie płomyka świecy, otworzyła kuchenne drzwi. Po raz tysięczny od momentu jej przybycia potrząsnęłam z niedowierzaniem głową na widok tych nadprzyrodzonych sztuczek,

po czym zabrałam lichtarze i świece i ruszyłam za nią do jadalni.

– Przygotowałam bułeczki z szynką i kanapki z pastą majonezową, cheddarem i papryczkami chili na przekąskę, zanim obiad dojdzie – wyjaśniła. – Proszę tylko pamiętać, że wszyscy muszą się napić mojego eggnoga!

– Myślisz, że to zadziała?

– Pani Theodoro, mój Bóg i moje dziedzictwo gullah jeszcze nigdy mnie nie zawiedli, więc na mój rozum poradzę sobie i tym razem!

– Chryste, mam taką nadzieję! – To była prośba o boską interwencję, a nie bluźniercza uwaga. – A teraz może mi wreszcie zdradzisz, co będzie na obiad?

– Och! Moja droga, wierna przyjaciółko! Jaki był najwspanialszy bożonarodzeniowy obiad, który pani pamięta?

Ja?

Ściany zaczęły nagle trzeszczeć, nad naszymi głowami rozległ się hałas przypominający tupot stóp, a wszystkie obrazy znowu poprzekrzywiały się na boki!

– Zdaje się, że nie tylko ja chciałabym usłyszeć odpowiedź! – dodała Pearl i skinęła dłonią. Obrazy natychmiast się wyprostowały, a dom umilkł.

– I nie tylko ty jesteś głodna! Mój Boże, niech pomyślę. Najsmaczniejszy obiad, jaki pamiętam, to ten, który jadłam, kiedy miałam jakieś osiem lat. Babcia uparła się, że urządzimy tradycyjny bożonarodzeniowy obiad w angielskim stylu. Nie było wtedy łatwo o porządny kawałek rostbefu albo tuczoną gęś, w każdym razie tak powtarzali dorośli. Oczywiście w ogóle nie udało się zdobyć tej gęsi, więc ostatecznie stanęło na wołowej pieczeni.

– Hm! Myśli pani, że tego nie pamiętam? A kto, pani zdaniem, ugotował tamten obiad?

– Ojej, oczywiście! To byłaś ty!

– A jakże! Groszek w miętowym sosie z małymi cebulkami, do tego tłuczone ziemniaki, a jako danie główne Yorkshire pudding...

Znowu wybuchnęłyśmy śmiechem. Och, jak mi Bóg miły, tym razem zaśmiewałyśmy się do łez, pokwikuując radośnie, dopóki jakaś niecierpliwa, choć niewidzialna siła nie przypomniała Pearl, po co się tu znalazła.

– No już dobrze, dobrze! – rzuciła Pearl gdzieś w stronę sufitu.

Popatrzyłam na nią, uświadomiwszy sobie nagle, jak niewiele czasu nam zostało. I ta myśl sprawiła, że miałam ochotę się rozplakać, wylewając dosyć łez, żeby wypełnić koryto Ashley River. I Cooper River też.

Zerknęłam na zegarek.

– Pięć, góra dziesięć minut i wszyscy będą tu z powrotem!

– Nie trzeba się tak zamartwiać. A teraz zamkniemy drzwi od salonu.

Zasunęłyśmy oba skrzydła z miłym dla ucha stuknięciem. Pearl wróciła do kuchni i swoich magicznych przygotowań, a ja zabrałam się do zapalania świec ustawionych wokół Biblii i w całej jadalni, zachodząc przy tym w głowę, co po powrocie powiedzą Barbara, Cleland i reszta rodziny na widok tak udekorowanego domu.

Potem podreptałam przez główny hol do mniejszego saloniku, gdzie aż zaniemówiłam z

wrażenia. Przeniesienie tutaj choinki Camille – jak się teraz okazało jasnozielonego sztucznego drzewka – stanowiło prawdziwy przebłysk geniuszu. Choinka lśniła i połyskiwała, rzucając refleksy światła na cały pokój. W tym otoczeniu, z panoramicznym telewizorem, o którym już wspominałam, sprzętem grającym, słuchawkami, komputerem, ogromnymi skórzanymi kanapami, fotelami, stosami płyt DVD i CD – z całą tą plątaniną kabli i hałasem rodem z dwudziestego pierwszego wieku, które uzurpowały sobie prawo do czasu, który winien być przeznaczony dla rodziny – no cóż, w tym otoczeniu choinka Camille wyglądała doskonale. Co więcej, nadawała całemu pomieszczeniu nieco zwariowany, acz żartobliwy charakter. Może nawet zaproponuję, żeby zostawić ją tutaj przez okrągły rok!

Zanim zdążylibyście powiedzieć „abrakadabra”, poczułam zapach wołowej pieczeni. I natychmiast zaburczało mi w brzuchu. Od lat nie czułam takiego głodu jak teraz, odkąd Pearl wróciła. A zaraz potem usłyszałam skrzypnięcie drzwi wejściowych. Już są. Obie z Pearl pospieszyłyśmy na spotkanie rodzinki – ona z kuchni, a ja z saloniku – i wszyscy niemal zderzyliśmy się w wejściu.

– Cześć! Mikołaj już był? – zapytała Teddie, ze świeżo odzyskanym entuzjazmem.

– Oczywiście! – zapewniła ją Barbara. – Ale najpierw chodź, odwiesimy do szafy nasze okrycia.

– Proszę mi je dać – zaferowała się Pearl. – I zapraszam na moment do jadalni!

Nikt nie zaproponował, zresztą i tak nie przypuszczałam, żeby którekolwiek z nich ośmieliło się sprzeciwić poleceniom Pearl. Ciągle jeszcze byli jak zaczarowani od wczorajszego wieczoru.

Rozlałam eggnog do szklanek, Barbara nałożyła na talerze po bułeczce z szynką i małej kanapce z pastą majonezowo-serową.

– Na zdrowie! – powiedziałam do Barbary i Clelanda, po czym stuknęliśmy się lekko szklankami. – Wesołych świąt!

Wszyscy pili i pili, i pili, dopóki misa nie była niemal pusta. Nikomu jakoś nie spieszyło się do otwierania prezentów. Eggnog najwyraźniej już zaczął działać.

– Co się z nimi stanie? – zapytałam szeptem Pearl. Barbara też ciekawie nadstawiła ucha.

– Najpierw powiedzą, że jest im bardzo przykro, i będą to mówić szczerze. A potem przybędzie im po kilogramie!

Po tych słowach zaczęła się śmiać tak serdecznie, że widać jej było wszystkie zęby, bez choćby jednej plomby. Wcześniej jakoś tego nie zauważyłam. Co więcej, wyraźnie pamiętałam z czasów dzieciństwa, że kiedyś brakowało jej kilku trzonowców.

– Kto jest twoim nowym dentystą? – zainteresowałam się.

– Moim dentystą? Ta kobieta to prawdziwa święta! – odparła Pearl, znowu wybuchając śmiechem. Barbara popatrzyła na mnie, a potem, nadal nie do końca wierząc w to wszystko, co się wokół niej dzieje, też się roześmiała.

– Jak było w kościele? – zapytałam.

– Chór śpiewał przepięknie! Pomodliłam się żarliwie za żywych i zmarłych – przy tych słowach mrugnęła do Pearl. – Ale w drodze powrotnej pośliznęłam się na śniegu i chyba skręciłam sobie kostkę.

– Zdażyłem ją złapać, więc się nie przewróciła – wtrącił Cleland. – Całe szczęście!

To było dosyć rycerskie z jego strony, pomyślałam. A przy tym oznaczało, że do kościoła i z powrotem szli ramię w ramię! Jeszcze jeden dobry omen!

– Zaraz wrócę – rzuciła Pearl i na ułamek sekundy zniknęła za drzwiami kuchni, a kiedy się stamtąd wynurzyła, w ręku trzymała laskę. Oczywiście z białym akcentem w postaci rączki z macicy perłowej. – To może się przydać podczas rekonwalescencji.

Barbara popatrzyła na laskę z uśmiechem, a potem uniosła ją nad głowę i odwróciła się w stronę reszty rodziny.

– Teraz lepiej miejcie się na baczności!

I co wy na to? Zdaje się, że razem z pewnością siebie u Barbary rozwinęło się też poczucie humoru! Nic nie mogłoby mnie ucieszyć bardziej!

– Chciałbym zaproponować toast! – oznajmił w tym momencie Cleland. Wszyscy umilkli, wpatrując się w niego wyczekująco. – Po pierwsze, pragnę podziękować Pearl za ten przepyszny eggnog. Choć tak naprawdę, to dziękuję ci, Pearl, za wszystkie smakowite potrawy, jakimi mieliśmy okazję delektować się od momentu twojego przybycia. Całe te święta są, no cóż... po prostu niesamowite.

To podsumowanie zasługiwało na tytuł największego niedomówienia stulecia.

– Racja, słusznie!

– Ale przede wszystkim chciałbym podziękować mojej cudownej żonie, Barbarze, za wiele rzeczy, w tym za tolerowanie moich... hm, złych wyborów i karygodnego zachowania. Dzisiaj uświadomiłem sobie, w jak wielu sprawach się myliłem. Dlatego chciałem powiedzieć przy wszystkich, że jest mi przykro i prosić cię, Barbaro, o wybaczenie. Jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę, postaram się być idealnym mężem, mężem, na którego zasługujesz. Nie mam ochoty dostać cięgów tą lagą! A tak poważnie, chciałbym też być lepszym ojcem i dziadkiem! Naprawdę.

Złotko, równie dobrze mógłbyś oznajmić, że za drzwiami czeka król Henryk VIII z pudełkiem czekoladek i bożonarodzeniowym puddingiem! Pomimo zaskoczenia reszta natychmiast poszła w ślady Clelanda. George uścisnął dłoń ojca ze słowami: „zaczniemy wszystko od nowa”. Cleland przytulił go ciepło i po przyjacielsku poklepał po plecach, a ja miałam wrażenie, że za chwilę obaj zaczną beczeć. Jednak zanim do tego doszło, Teddie i Andrew objęli dziadka rączkami w pasie i mocno uścisnęli. Kiedy to samo zrobili z George’em, ten wzruszył się tak bardzo, że wierzchem dłoni musiał ocierać łzy.

A w chwili gdy Barbara otoczyła ramionami Clelanda i pocałowała go prosto w usta na oczach wszystkich, zadzwonił dzwonek do drzwi wejściowych. Camille pobiegła otworzyć i do środka wpadł nie kto inny, tylko Grayson we własnej osobie, dodam przy okazji, że obdarzony przez naturę cerą koloru mlecznej czekolady, na białym niczym polukrowany rowerze (tak, wyglądało mi to na sprawkę Pearl), całym w balonach i czerwono-zielonych kokardach, naciskając przymocowany do kierownicy dzwonek. Andrew rzucił się w jego kierunku, dosłownie kwicząc z radości.

– Tatusiu! Tatusiu! O kurczę! Jest dokładnie taki, jak chciałem!

– Och, Grayson! – Camille zarzuciła mężowi ramiona na szyję i spojrzawszy mu głęboko

w oczy, dodała: – Wesołych świąt, skarbie! Kocham cię! Teraz wszystko się zmieni, przysięgam! Wszystko się zmieni. Tak mi przykro. Wybacz mi.

Grayson pogładził ją po włosach, a potem ujął dłonią pod brodę i odparł:

– Ja też cię kocham, maleńka! Nie martw się, razem coś wymyślimy. W końcu miłość zawsze znajdzie jakieś wyjście, prawda? – Potem odwrócił rower w stronę Andrew i mierzwiąc synkowi czuprynę, dodał: – Chyba nie powinieneś na nim jeździć po domu. Wesołych świąt!

– Dziękuję! Dziękuję!

Andrew w mgnieniu oka wypadł na dwór i pomknął w dal chodnikiem. Bez kurtki, bez czapki. Ale kto by się tym dzisiaj przejmował?

– Zauważyłem to cudo w oknie wystawowym sklepu przy Lenox Square i nagle przyszło mi do głowy, że nasz synek na pewno chciałby dostać coś takiego!

– Kto by pomyślał? Wyobraź sobie, że mam drugi taki sam, niebieski i zupełnie nowiutki, schowany w garażu! – odparła Camille. – Dosłownie identyczny!

– Dla mnie? – zainteresowała się Teddie. – Proszę? Proszę?

Grayson i Camille, objęci ramionami w pasie, wymienili spojrzenia, po czym zgodnie orzekli:

– Jasne, czemu nie?! Rower jest twój, kochanie! Wesołych świąt!

Teddie przemknęła koło nas lotem błyskawicy, a kilka sekund później już pędziła ulicą za Andrew. Szczodrość ciotki i postawa rodziców pozwoliły jej na nowo stać się dzieckiem.

– Dzięki! – powiedział George. – To było naprawdę bardzo miłe z waszej strony!

– A my byliśmy przekonani, że już nie interesują jej zabawki! – dodała Lynette. – Takie rzeczy uświadamiają człowiekowi, jak niewiele tak naprawdę wie o własnym dziecku!

Oboje z mężem stali w drzwiach salonu, również objęci i cali w uśmiechach. Wszystko zaczynało się w końcu układać jak należy. Za to ja byłam tak znużona tą stresującą sytuacją, że czułam się, jakbym dźwigała na barkach cały świat.

Poszłam do kuchni, żeby poradzić się Pearl.

– A nie mówiłam, że dadzą sobie radę? Hm! Och, wy ludzie małej wiary!

Usiadłam przy stole i spojrzałam na nią spod powiek. Wiedziała, o co chcę ją poprosić, zanim jeszcze otworzyłam usta.

– Pearl, kiedy będziesz odchodzić, zabierz mnie ze sobą. Jestem taka zmęczona życiem. Załatwiłam już wszystkie swoje ziemskie sprawy. Chcę być z Fredem.

Pearl popatrzyła w sufit, a potem z powrotem wbiła wzrok we mnie.

– Nie mogę. Jeszcze nie pora na panią.

– Na miły Bóg, Pearl. Do czego ja się tu mogę jeszcze przydać? Boli mnie całe ciało, od czubka głowy aż do pięt. Jestem taka znużona. Słabo słyszę, pamięć też coraz częściej mnie zawodzi. Wiem, że jestem dla wszystkich wyłącznie ciężarem...

Pearl przysiadła na stołeczku i ujęła moją dłoń, po czym przymknęła oczy, jakby się modliła. Ja też spuściłam powieki, starając się zajrzeć w głąb swojego serca, wyczuć obecność Freda. I nagle poczułam falę ciepła w całym ciele, zupełnie jak wtedy, gdy byłam młodą dziewczyną i spotkałam go po raz pierwszy. Tak bardzo za nim tęskniłam.

– Pani Theodoro, musi pani zrozumieć. Decyzja o odejściu z tego świata nie należy do nas. Nie mam aż takiej mocy... – Nagle umilkła i znowu zamknęła oczy.

– O co chodzi? – Skinęłam głową. – Co?

– Kiedy nadejdzie ten moment, postaram się być przy pani, a poza tym uprzedzę wszystkich tam na górze, że jest już pani w drodze.

– I już? – Już.

– To niewiele.

– Przepraszam? A tych ostatnich kilka dni?

– Były wyjątkowe! Po prostu wyjątkowe!

– Dobra, w takim razie ustalmy sobie priorytety, jasne? Pora otworzyć prezenty!

Zaprosiłyśmy do salonu wszystkich oprócz Camille, która wyszła na dwór, żeby zawołać Andrew i Teddie. Barbara zatrzymała nas jednak w drzwiach i oświadczyła:

– Zaczekajmy jeszcze na dzieci.

I miała absolutną rację. Usłyszałam, jak Andrew i Teddie nadbiegają chodnikiem, roześmiani i pełni życia, zachwyceni swoimi nowymi rowerami, a zaraz potem nasza niesforna dwójka wpadła do domu z policzkami zaczerwienionymi od podniecenia i mrozu.

Na dodatek Teddie ścisnęła pod pachą lalkę niemowlaka.

– Gigi! Zobacz, co znalazłam w szopce! – wysapała. – To normalnie jak cud! Tych lalek nie można nigdzie dostać!

Żadne jak, tylko prawdziwy cud, miałam ochotę powiedzieć.

– Może Święty Mikołaj ją tam położył?

Teddie popatrzyła na mnie szeroko rozwartymi ze zdumienia oczami, które wyrażały teraz jedynie czystą niewinność, i zapytała:

– Naprawdę tak myślisz, babciu?

– Przecież wiesz, że tak! – Z dreszczem podekscytowania ujrzałam, jak jej buzię rozjaśnia pełen radości uśmiech.

– Może sprawdzimy, co jeszcze leży pod choinką? – zaproponowała Barbara, rozsuwając drzwi. – Byliście wyjątkowo cierpliwi...

Kiedy naszym oczom ukazało się wnętrze salonu, wszyscy jednym głosem wydali z siebie jęk zachwyty, a potem zapadła cisza. Nie miałam pojęcia, co sobie myślą, i zdawało mi się, że upłynęły całe wieki, zanim któreś z nich raczyło wreszcie coś powiedzieć.

– Jest wspaniała, prawda? – odezwała się Barbara.

– Aż zapiera dech w piersiach – przyznała Lynette.

– A co z moją... – zaniepokoiła się w tym momencie Camille.

– Jest w saloniku – uspokoiła ją Barbara. – Miało być jak w Białym Domu, więc chyba możemy sobie pozwolić na więcej niż jedną choinkę, prawda córeczko? – Wspierając się na lasce z iście królewską dystynkcją, przyklęła obok prezentów i zaczęła je podawać Clelandowi. – Pomożesz mi, kochanie?

– Oczywiście! Proszę, George, to dla ciebie! Camille? Ten jest dla ciebie...

Wszystkie paczuski zostały rozdzielone i rozpakowane pośród pełnych zdumienia okrzyków. Poza nieodzownymi przy takiej okazji szlafrokami, kapturkami, swetrami i

książkami, dla każdego z członków rodziny znalazł się też dodatkowy, niezwykle prezent. Barbara otrzymała piękny pierścionek z perłą i diamentami od Clelanda, który jakoś nie bardzo mógł sobie przypomnieć moment zakupu. Barbara z kolei podarowała mu diamentowo-perłowe szpilki do krawata i spinki do mankietów, choć zarzekała się, że nigdy wcześniej nie widziała ich na oczy. Teddie poza ubrankami i różnymi przyborami dla lalki znalazła w swojej paczce arkusik z przyklejanymi na uszy kolczykami, które doskonale imitowały prawdziwe sztyfciki. Jej rodzicom, którzy siedzieli na kanapie, cały czas trzymając się za ręce, nie umknął wyraz rozczerowania, jaki odmalował się na buzi córki.

– Chodź do mnie, słonko – przywołała ją do siebie Lynette. – Tatusi właśnie mi powiedział, że jeśli latem będziesz chciała przekłuć uszy, on nie ma nic przeciwko temu.

– Naprawdę?

– Aha, po prostu chciałam poczekać, aż będziesz już na tyle duża, żebyś mogła o nie dbać. Jeśli rzeczywiście tak bardzo chcesz sobie przekłuć uszy... czemu by nie? Chodź tutaj.

Teddie wspięła się na kolana matki, a George wyjął z kieszeni aksamitny woreczek i wręczył go córce.

– Nie mam pojęcia, skąd się wzięły. Po kościele sięgnąłem do kieszeni marynarki, a one po prostu tam były... zagadkowa sprawa...

Teddie wytrząsnęła zawartość woreczka na dłoń, a potem z radosnym piskiem rzuciła się ojcu na szyję.

– Perełki! Och, tatusiu!

Ścisnęła go tak mocno, aż zaczęłam się bać, że go udusi, jednak nic takiego się nie stało.

– Każda młoda dama powinna mieć trochę biżuterii, prawda? – zauważył George. – Obiecuj mi tylko, że nie wyrośniesz za szybko...

Teddie wycisnęła całusa na jego policzku, a potem pocałowała też Lynette.

– Obiecuję! Potrzebujesz je dla mnie, mamu? Bo idę się pobawić Jackie!

Jackie to imię upragnionej nowej lalki. Wyglądało na to, że w tym akurat momencie Teddie nie miała nic przeciwko temu, żeby traktować ją jak małą dziewczynkę.

A prawdziwy wysyp perłowych prezentów trwał nadal. Lynette dostała sznur ogromnych białych pereł o nieregularnym kształcie, Camille podwójny sznur mniejszych, hodowlanych. George i Grayson obaj znaleźli w swoich paczuszkach zegarki na rękę ze skózanymi paskami i tarczami z masy perłowej. A ja zostałam uhonorowana okularami z takimiż oprawkami i przepięknym albumem na temat pereł. Jako jedyna nie byłam tymi wydarzeniami zaskoczona, oczywiście poza Barbarą, która zdążyła już zaakceptować myśl, że wszystko jest możliwe. Tak naprawdę to chyba wszyscy zaczynaliśmy się do tego przyzwyczajać.

Poza najprostszym modelem laptopa dla Andrew oraz aparatem cyfrowym i wyposażoną w podstawowe funkcje drukarką fotograficzną dla Teddie – pomysłowymi prezentami, na które Barbara wpadła w ostatniej chwili, żeby skłonić dzieciaki do współpracy – pod choinką czekało jeszcze na Andrew pierwsze wydanie „Perły” Johna Steinbecka z autografem autora i specjalną dedykacją na załączonej do podarunku karteczce.

Tekst brzmiał następująco: „Andrew, ta książka to bezcenny unikat, dlatego powinienes oddać ją rodzicom na przechowanie, ale zaglądaj do niej razem z całą rodziną jak najczęściej.

Każdy znajdzie na jej kartach jakąś naukę. Wesołych świąt! Mikołaj”.

– Obiad podano – oznajmiła w tym momencie Pearl, która stanęła w drzwiach salonu.

– W takim razie idziemy! – zarządziła Barbara i wsparła się mocniej na lasce, żeby wstać z krzesła.

Podsunałam jej swoje ramię jako dodatkową pomoc i przy okazji zapytałam szeptem:

– Coś ty u licha powiedziała Clelandowi? Teraz to zupełnie inny człowiek!

– Oświadczyłam mu, że jeśli chce, żebym na starość wycierała mu zaśliniony podbródek, lepiej niech postara się być dla mnie miły już teraz!

– To wszystko? – Cleland zrobił się potulny jak baranek pod groźbą kiepskiej opieki geriatrycznej? Nie do wiary! I czy ja się ślinię? Boże broń!

– Szczerze? Po prostu wszystko mu wybaczyłam. I wyznałam, że kocham go z całego serca, zawsze kochałam i zawsze będę.

– Litości! Co było potem?

– Nie uwierzysz. On zaczął płakać. Bał się, że tym razem zranił mnie zbyt mocno, żebym mogła go jeszcze kochać.

– No i?

– Uspokoilałam go, że co było, to było, a ja chcę poświęcić resztę życia na to, by uczynić go szczęśliwym. A potem zasugerowałam, że powinien zrobić to samo dla mnie. Tak więc ogłosiliśmy rozejm. I wiesz mamie co?

– Co?

– Powiedział, że uważa mnie za piękną kobietę. Masz pojęcie, jak dawno tego od niego nie słyszałam?

– Och, moja kochana dziewczynko! A kiedy ostatni raz byłaś tak szczęśliwa i pewna siebie?

– Trafiony, zatopiony! – Barbara ucisnęła lekko moje ramię. A potem całą rodziną przeszliśmy do jadalni, żeby razem zasiąść do bożonarodzeniowego obiadu.

Tym razem modlitwa, którą odmówił Cleland, płynęła prosto z serca. Wszyscy pochylili głowy ze szczerym nabożeństwem. W te święta wydarzyło się tak wiele cudów, że trudno było zapanować nad emocjami.

Pearl pokroiła pieczeń i podała pozostałe potrawy. W tym momencie ku zdumieniu wszystkich mój ukochany Andrew podniósł się ze swojego miejsca i podszedł do stolika, na którym spoczywała Biblia. W naszym domu panowała zasada, że kiedy już zasiedliśmy do posiłku, nikt nie wstawał od stołu bez pozwolenia. Wszyscy, a przynajmniej tak mi się wydawało, zamarli, wpatrując się w Andrew uważnie. Czyżby zamierzał odczytać fragment Ewangelii na głos? Ten dzień układał się już tak dobrze! Nie chciałam, żeby z powodu swoich kłopotów z czytaniem Andrew poczuł się upokorzony albo żeby ten cudowny nastrój pojednania prysł.

– Wracaj do stołu, kochanie – poprosiłam.

– Za chwilę – odparł Andrew. – Posłuchajcie! Dokładnie to samo czytali dzisiaj w kościele. – I tu mój ukochany prawnuczek, który z powodu kpin kolegów wycierpiał tak wiele, płynnie odczytał następujący ustęp: – „Naraz stanął przy nich anioł Pański i chwala

Pańska zewsząd ich oświeciła, tak że bardzo się przestraszyli. Lecz anioł rzekł do nich: „Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan. A to będzie znakiem dla was: znajdziecie Niemowlę owinięte w pieluszki i leżące w żłobie”. I nagle przyłączyło się do anioła mnóstwo zastępów niebieskich, które wielbiły Boga słowami: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom, w których ma upodobanie”* [Za Biblią Tysiąclecia, Łk. 2, 9-14. 130]. Ale super, co? Ta książka jest taka sama jak tamta w kościele!

Mieliśmy wiele powodów do zdumienia, głównie chyba jednak taki, że po raz pierwszy w życiu byliśmy świadkami, jak Andrew przeczytał spory fragment tekstu bez choćby jednego zająknięcia. Camille zerwała się z krzesła i płacząc, porwała go w ramiona.

– To było wspaniałe, synku! Po prostu wspaniałe! Grayson podniósł go do góry i posadził z powrotem na krześle.

– Doskonale się spisałeś, Andrew – powiedział, całując syna w czubek głowy. – Jestem z ciebie tak dumny, że mało nie pękne! – Nawet jemu nagle zabrakło słów, a spod powieki wymknęła się łezka czy dwie.

Sięgnęliśmy po kieliszki, żeby uczcić toastem osiągnięcie Andrew, każdy dodał też od siebie kilka słów pochwały. W tym momencie podchwyciłam spojrzenie Pearl.

– To było coś ekstra ode mnie – szepnęła, stawiając przede mną talerz. – Od tej pory chłopaczyna będzie sobie dobrze radził! To mój ulubieniec.

– Wszyscy sobie poradzimy – wtrąciła Camille.

– Kochanie, poza zdrowiem i pewną sumą pieniędzy pozwalającą na to, by godnie żyć, człowiekowi potrzeba jedynie miłości i szacunku. – zauważyła Barbara. – Ale nie wiem, jak to z wami jest...

– Mamy wystarczająco dużo wszystkich tych darów na całe życie – zauważył George, kończąc za matkę myśl.

– Oczywiście – zawtórował mu Cleland. – Święte słowa. Pewnie wyobrażacie sobie teraz, że wszyscy zjedli obiad, delektując się każdym kęsem, i macie absolutną rację. Gdy tylko pozwolono im wstać od stołu, dzieci natychmiast pobiegły z powrotem do swoich nowych zabawek. Ze swojego miejsca widziałam oboje wyraźnie. Dogadywali się ze sobą lepiej niż kiedykolwiek dotąd.

Dorośli pozostali przy stole, rozmawiając o tym, jak ważne były te święta i jak bardzo się cieszą, że w końcu wyrzucili z duszy wszystkie żale i sekrety. I co najistotniejsze, jak bardzo są wdzięczni swoim bliskim za jeszcze jedną szansę. A potem podniosłam wzrok i zobaczyłam Pearl w tym jej czerwonym płaszczu, z walizką w ręku. Podchwyciwszy moje spojrzenie, przyłożyła palec do ust, prosząc o dyskrecję, po czym wysunęła się do holu. Zauważyłam, że powiedziała coś do dzieci, które wstały z podłogi i podążyły za nią. Obserwowałam ich twarze, na których malowało się to samo co na mojej podszyte lękiem zdumienie, gdy Pearl weszła prosto do lustra w holu i zniknęła. Oboje natychmiast podbiegli bliżej i zaczęli dotykać tafli zwierciadła, a ja poczułam pod powiekami piekące łzy. Wstałam ze swojego krzesła i wyszłam do dzieci, drżących ze strachu i zwątpienia.

– Gigi, widziałaś, widziałaś to?

– Tak – odparłam. Cieszyłam się, że mogli zobaczyć na własne oczy to, o czym ja wiedziałam już od dawna, ale ogarnął mnie też ogromny smutek. Moja przyjaciółka odeszła.

– Jak ona... ? – nie mogła się nadziwić Teddie. – Jak ona to zrobiła? Przecież to niemożliwe! Prawda?

– Zastanów się nad tym dobrze, kochanie... czyż Boże Narodzenie nie jest czasem cudów, kiedy wszystko jest możliwe?

– Dlaczego płaczesz, Gigi? – zmartwił się Andrew.

– Bo Pearl była najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam. Najlepszą.

Wiedziałam, że nie da się uniknąć niekończących się dyskusji na ten temat. Barbara zaakceptuje wieści o zniknięciu Pearl, tak jak przyjęła jej pojawienie się, ponieważ była świadkiem jej wyjątkowych umiejętności. Cleland będzie chciał słuchać tej historii bez końca, choć przy kolejnej powtórcie zamiast koktajlu poprosi zapewne o kawę bezkofeinową. Camille bez wątpienia podda się leczeniu odwykowemu, jeśli już nie z innego powodu, to przynajmniej ze strachu. Na pewno nie będzie miała ochoty na powtórne odwiedziny ducha! Natomiast pełen niedowierzania George w końcu powie coś w stylu: „W tej stukniętej rodzinie nie ma rzeczy niemożliwych”. I wszyscy będziemy się z tego śmiać. Grayson stwierdzi, że styka się z takimi sprawami przez całe swoje życie i tylko większość ludzi nie jest w stanie dostrzec cudu, który im się przytrafia, nawet gdyby ten ugryzł ich w nos! A Lynette, nasza dziewczyna ze wsi, podsumuje to wszystko jednym stwierdzeniem: „Żadna rzecz, która zbliżyła nas znowu do siebie, nie może być zła!”. I wszyscy będą mieli rację.

Kiedy wieczorem kładłam się do łóżka, byłam tak zmęczona, jakbym wdrapała się na szczyt Kilimandżaro. Przed snem sięgnęłam jeszcze po zdjęcie Freda, ucałowałam je, a potem przycisnęłam mocno do piersi. Już wkrótce się z nim zobaczę. Nie ma potrzeby przyspieszać mojego odejścia, skoro nasz dom stał się wreszcie miejscem, w którym warto żyć.

Spałam naprawdę mocno. I w tym moim śnie pojawiła się, bez najmniejszego ostrzeżenia, twarz Pearl.

– A więc, proszę opowiedzieć swojej starej Pearl, jak tam minęły pani święta? – usłyszałam.

– Wspaniale, dzięki tobie, moja droga przyjaciółko! Już za tobą tęsknię!

– Zawsze czekam na panią na krawędzi wspomnień, pani Theodoro. Na wyciągnięcie ręki. Proszę się tym już nie martwić.

– No i jak? Dostałaś swoje skrzydła?

– Hm. Jeszcze nie wiem. Teraz myślę, że nie trzeba było używać tyle magii gullah ani wypijać całej tej brandy.

– Co to znaczy, Pearl?

– To znaczy, że lepiej miejcie się głuptasy na baczności, bo jeszcze mogą wpaść tam do was z wizytą!

– Bardzo bym tego chciała...

Pearl pogroziła mi palcem, uśmiechając się lekko, a potem zniknęła. Zapadłam w błogi stan odprężenia z myślą, jak to cudownie, że wszyscy, których kocham, czekają na krawędzi wspomnień. Z tym mogłam żyć. Mogłam też żyć i dla tego.

Nota autorki

Poniższe przepisy pochodzą z naszych rodzinnych sztambuchów, spisywane przede wszystkim przez moją matkę, Dorotheę Blanchard, której odejście zmusiło mnie do obrania zupełnie nowej drogi w życiu. Jednak tak naprawdę to moja siostra, Lynn Benton Bagnol, przygotowuje co roku wszystkie te smakowitości. I jeszcze nikt nigdy nie użył jej keksa zamiast piłki do gry w nogę.

Miętowy julep

- kilka listków mięty
- 2-3 łyżki syropu z cukru
- pokruszony lód
- 50 ml Maker's Mark albo dobrego bourbona
- gałązka mięty

Zmiażdżone listki mięty zalać syropem, pozostawić do naciągnięcia. Następnie przelać całość do schłodzonej szklanki i dodać pokruszony lód. Wlać whisky, zamieszać bez dotykania ścianek, udekorować gałązką mięty. Podawać od razu.

Przepis na 1 porcję.

Syrop z cukru

- szklanka cukru
- szklanka gorącej wody

Wymieszać w rondlu. Można przechowywać w szczelnie zamkniętym słoiku w lodówce.

Zapiekanka śniadaniowa

- 12 kromek pszennego chleba bez skórki
- 2-3 łyżki miękkiego masła
- pół kostki masła
- ok. 200-250 g świeżych pieczarek, obranych i pokrojonych
- 500 g pokrojonej w cienkie plasterki cebuli
- ok. 750 g mielonego mięsa
- 400-450 g startego na tarce cheddara
- 5 jaj
- 272 szklanki mleka
- 3 łyżeczki francuskiej musztardy (Dijon)
- łyżeczka musztardy w proszku
- łyżeczka zmielonej gałki muszkatołowej
- 2 łyżki świeżej, drobno posiekanej natki pietruszki
- sól i pieprz

Nagrząć piekarnik do temperatury 180 stopni.

Posmarować chleb miękkim masłem, odstawić na bok. Rozpuścić na patelni pół kostki masła, podsmażyć pieczarki i cebulę na średnim ogniu, dopóki nie zmiękną (6 do 8 minut). Doprawić solą i pieprzem. Poddusić mięso na patelni, starannie mieszając.

W natłuszczonym żaroodpornym naczyniu ułożyć 6 kromek chleba, na to wyłożyć pieczarki wymieszane z cebulą, następnie mielone mięso i ser. Powtarzać układanie kolejno tych samych warstw, kończąc wszystko warstwą cheddara.

Wymieszać w misce jajka, mleko, oba rodzaje musztardy i gałkę muszkatołową, łyżeczkę soli i pół łyżeczki pieprzu, a następnie poleć tak przygotowanym sosem zapiekankę. Całość przykryć i wstawić na noc do lodówki.

Przed upieczeniem posypać wierzch zapiekanki natką pietruszki. Piec bez przykrycia ok. godziny albo do momentu, kiedy brzegi dania zaczną bulgotać.

Podawać od razu z sałatką owocową i pieczywem.

Porcja dla 6-8 osób.

Serowe placuszki

- 1/2 kostki masła o temperaturze pokojowej
- 450 g ostrego, startego na tarce sera
- 1/2 łyżeczki soli
- 1/4 łyżeczki pieprzu cayenne
- 1 3/4 szklanki mąki
- pieprz cayenne do dekoracji

Nagrzać piekarnik do temperatury 180 stopni.

Zmieszać razem masło i ser, dodać przesianą mąkę, doprawić solą i pieprzem. Powstałą w ten sposób masę przełożyć do wyciskarki do wyrabiania ciastek lub schłodzić, a następnie rozwałkować na cienki placek. Wykrawać kółka foremką o średnicy ok. 2, 5-3, 5 cm i kłaść je na nieposmarowanej tłuszczem blasze.

Piec 15-20 minut lub do momentu zrumienienia. Posypać pieprzem cayenne do smaku. Zdjąć z blachy przed ostygnięciem. Placuszki świetnie nadają się do przechowywania w szczelnie zamkniętym pojemniku.

Porcja na mniej więcej 100 sztuk.

Szynka glazurowana z owocami

- 3, 5-4, 5 kg szynki z kością
- całe goździki
- $\frac{1}{4}$ szklanki francuskiej musztardy (Dijon)
- $\frac{1}{4}$ szklanki brązowego cukru
- 2 łyżki mąki
- mały słoiczek dżemu z brzoskwiń
- duża puszka plasterów konserwowanego ananasa z sokiem
- mały słoik wiśni w likierze maraskino

Nagrzać piekarnik do temperatury 180 stopni. Odciać spodnią warstwę szynki tak, żeby mięso przylegało płasko do dna brytfanny. Ostrożnie usunąć nożem i zbrązowiałą skórę, pozostawiając jednak warstwę tłuszczu. Ponacinać wierzch szynki, w nacięcia powtykać goździki. Wymieszać w rondlu musztardę, cukier, mąkę, dżem, ok. 30 ml ($\frac{1}{8}$ szklanki) soku z ananasa i 30 ml I ($\frac{1}{8}$ szklanki) likieru z wiśni, po czym podgrzać wszystko na małym ogniu, dopóki całość nie zgęstnieje, a następnie rozprowadzić łyżką sos po wierzchu szynki.

Udekorować całość plasterami ananasa, po środku każdego mocując za pomocą wykałaczki wisienkę. Piec przez godzinę, od czasu do czasu polewając pozostałą częścią sosu. Przed pokrojeniem usunąć wykałaczki.

Czerwony ryż

- 6 pasków boczku, pokrojonych w kostkę
- 4 łyżki tłuszczu wytopionego podczas smażenia boczku
- duża cebula, drobno posiekana • mała puszka przecieru pomidorowego
- 500-700 ml ($\frac{1}{2}$ – $\frac{3}{4}$ litra) wody
- 272 łyżeczki soli
- 2-3 łyżeczki cukru
- szczypta pieprzu i papryki w proszku
- $1\frac{1}{4}$ szklanki długoziarnistego ryżu

Podsmażyć boczek, następnie zdjąć go z patelni, a na pozostałym tłuszczu (ok. 1 łyżeczki) poddusić cebulę. Dodać przecier pomidorowy, wodę, sól, cukier, pieprz i paprykę. Gotować bez przykrycia około 10 minut, dopóki sos nie odparuje do objętości dwóch szklanek. Schłodzić do temperatury pokojowej.

Gotować ryż w metalowym rondlu lub w górnej części parownika do ryżu razem z otrzymanym w ten sposób sosem i 3 łyżkami tłuszczu z boczku przez mniej więcej 30 minut, następnie dodać boczek i zamieszać całość widelcem. W razie potrzeby dodać wody i gotować jeszcze 30 do 45 minut.

Porcja na 6 do 8 osób.

Maślane bułeczki

• 2 szklanki mąki ze spulchniaczem (typu self-rising, np. White Lily SelfRising Flour, dostępnej na stronie www.whitelily.com) – można też do zwykłej mąki dodać proszek do pieczenia w proporcji 1¹/₂ łyżeczki proszku do pieczenia i 1¹/₂ łyżeczki soli na szklankę mąki

- szczypta soli
- ²/₃ kostki (160 g) tłuszczu piekarniczego lub schłodzonego masła
- ²/₃ – ³/₄ szklanki (160-180 ml) mleka lub maślanek
- białko z jajka, wymieszane z łyżką zimnej wody

Nagrząć piekarnik do temperatury 230 stopni.

Odmierzyć mąkę do dużej miski, dodać sól i masło. Wymieszać za pomocą noża do krojenia pizzy, dwóch noży lub po prostu palcami, rozdrabniając masło na kawałki o wielkości mniej więcej pół centymetra.

Zrobić wgłębienie pośrodku zaczynu i wlać mleko lub maślanek. Ciasto może się kleić, ale tak powinno być!

Wyjąć ciasto na oproszoną mąką stolnicę i zagnieść delikatnie dwa lub trzy razy. W razie konieczności dodać odrobinę mąki. Delikatnie rozwałkować ciasto na grubość około centymetra. Ostudzić.

Wycinać za pomocą oproszonej mąką szklanki lub foremki o średnicy ok. 5 cm krążki, pozostawiając pomiędzy nimi jak najmniej ciasta. Następnie zagnieść okrawki, ponownie rozwałkować i powtórzyć operację wykrawania krążków. Tym razem okrawki wyrzucić.

Ułożyć bułeczki na blasze tak, aby stykały się bokami, jeśli zależy nam na tym, aby były miękkie, lub nieco oddalone od siebie, jeśli chcemy uzyskać chrupkie brzegi. Posmarować rozbełtanym białkiem jajka.

Piec 8-10 minut albo do zrumienienia na złocisty kolor.

Podawać gorące, zaraz po wyjęciu z piekarnika.

Porcja na 12 bułeczek.

Zupa z krabów

- 0,9 l mleka i śmietanki pół na pół lub śmietany 18%
- $\frac{1}{4}$ zmielonej gałki muszkatołowej
- odrobina skórki z cytryny
- $\frac{1}{4}$ kostki (60 g) masła
- $\frac{1}{4}$ szklanki (60 g) pokruszonych krakersów
- sól i pieprz do smaku
- 2 krople sosu tabasco
- $\frac{1}{2}$ kg ugotowanego białego mięsa z krabów
- 2 łyżki sherry

Dodać do śmietany gałkę muszkatołową i skórkę z cytryny, całość podgrzewać przez kilka minut na małym ogniu, nie doprowadzając jednak do wrzenia – śmietana powinna parować, ale nie bulgotać. Następnie dodać masło i znowu pozostawić na wolnym ogniu przez mniej więcej 15 minut. Zagęścić kawałkami krakersów, doprawić solą, pieprzem i sosem tabasco. Dodać mięso z krabów.

Pozostawić na minimalnym ogniu w celu wydobycia aromatu. Tuż przed podaniem wlać sherry. Zamiast mięsa krabów można też użyć krewetek, które należy jednak starannie rozdrobnić. Porcja na 6 osób.

Potrawka kreolska

- 2 średniej wielkości cebule
- zielona papryka
- 1¹/₂ szklanki (350 g) selera
- 4 łyżki tłuszczu z boczku
- duża puszka pomidorów w zalewie
- 1¹/₂ łyżeczki cukru
- 4 łyżki przecieru pomidorowego
- sól i pieprz do smaku
- 3 szklanki (750 g) ugotowanych krewetek

Pokroić cebule, zieloną paprykę i selera w grubą kostkę, a następnie zeszklić na tłuszczu. Pokroić grubo pomidory z zalewy, dodać je razem z cukrem i przecierem do podsmażonych warzyw. Gotować na wolnym ogniu od 30 do 45 minut, dopóki całość nie zgęstnieje. Doprawić solą i pieprzem. Na pięć minut przed podaniem dodać krewetki.

Podawać z ryżem długoziarnistym. Zamiast soli i pieprzu można użyć specjalnej przyprawy do potrawki kreolskiej.

Porcja dla 6-8 osób.

Domowe pomadki

- białko jaja
- 2 łyżki zimnej wody
- 2 tabliczki gorzkiej czekolady (stopionej)
- łyżeczka cukru waniliowego
- ok. 3 $\frac{1}{2}$ szklanki przesianego cukru pudru
- połówki orzechów włoskich lub pekanów

Delikatnie roztrzepać białko jajka, następnie dodać wodę, czekoladę, wanilię i dosycć cukru, żeby zagęścić całą masę. Uformować niewielkie kulki, w każdej umieścić połówkę orzecha, lekko wciskając ją do środka.

Porcja na około 35-50 sztuk.

Lekki keks

- 1¹/₂ kostki (375 g) masła o temperaturze pokojowej
- 1¹/₂ szklanki cukru
- łyżka ekstraktu waniliowego
- 2 łyżki esencji cytrynowej
- 7 jaj, białka i żółtka oddzielnie, o temperaturze pokojowej
- 2 szklanki mąki
- 675-750 g kandyzowanego żółtego, zielonego i czerwonego ananasa (ok. 3 szklanek)
- 450 g czerwonych i zielonych pociętych w połówki wisienek (ok. 2 szklanek)
- 100 g kandyzowanej cytryny/skórki cytrynowej (ok. 72 szklanki)
- 250 g rodzynek (ok. 1¹/₂ szklanki)
- 3 szklanki grubo posiekanych pekanów
- szklanka grubo posiekanych orzechów włoskich
- 1/4 szklanki brandy lub apple jacka (whisky zmieszanej z sokiem jabłkowym)
- odrobina brandy
- ewentualnie szklanka bakalii: skórki pomarańczowej, fig czy wiórków kokosowych.

Nagrząć piekarnik do temperatury 120 stopni.

Natłuszczonym z obu stron pergaminem wyłożyć formę do pieczenia babek o średnicy ok. 26 cm lub dwie formy keksówki. Wyciąć i posmarować tłuszczem po obu stronach pergamin, którym nakryjemy formy.

Utrzeć razem masło i cukier, dodać oba aromaty. Roztrzepać żółtka i wlać je do masy, wsypać 1¹/₂ szklanki przesianej mąki.

W dużej misce wymieszać razem owoce i orzechy, posypać pozostałą 1/2 szklanki mąki i porządnie w niej obtoczyć. Dodać wszystko do ciasta, ostrożnie wymieszać. Z białek ubić pianę i także dodać do ciasta.

Wlać ciasto do przygotowanych form, przykryć i wstawić do piekarnika, na półeczce niżej umieścić formę z wodą.

Piec 2¹/₂ do 3 godzin albo do momentu, kiedy po sprawdzeniu wykałaczką ciasto wydaje się już upieczone. Wyjąć z piekarnika, zdjąć papier z wierzchu i polać ciasto 1/4 szklanki brandy. Gdy ciasto ostygnie, wyjąć je z foremek i ostrożnie usunąć pergamin. Owinąć w folię spożywczą, przechowywać w hermetycznym pojemniku przez trzy tygodnie przed podaniem, najlepiej w lodówce, raz lub dwa rozwijając jednak ciasto i polewając je 2-3 łyżkami brandy, aby pozostało wilgotne.

Porcja na 24 kawałki.

Ciasteczka z orzechami

- ok. 1¹/₂ kostki masła o temperaturze pokojowej
- 18 łyżek przesianego cukru pudru
- 4 łyżki ekstraktu waniliowego
- 2 łyżki wody
- 4¹/₂ szklanki przesianej mąki typu selfrising (lub 4¹/₂ szklanki mąki, 6¹/₂ łyżeczki proszku do pieczenia, 2 łyżeczki soli)
- 3 szklanki posiekanych pekanów
- cukier puder do posypania

Nagrzać piekarnik do temperatury 160 stopni.

Utrzeć masło z cukrem pudrem, dodać ekstrakt waniliowy i wodę. Stopniowo dodawać mąkę, potem wrzucić orzechy. Uformować z masy waleczki wielkości kciuka. Piec 15 minut albo do zrumienienia na wysmarowanej tłuszczem blasze.

Ciepłe ciasteczka obtoczyć starannie w cukrze pudrze, ostudzić. Przechowywać w szczelnie zamykanej puszcze.

Porcja na 35-50 sztuk.

Rumowe kulki

• szklanka „zmielonych” (ja używam do tego celu robota kuchennego lub miksera!) waniliowych andrutów

- szklanka cukru pudru
- 2 szklanki posiekanych pekanów
- 2 łyżki kakao
- 2 łyżki syropu glukozowego
- $\frac{1}{2}$ szklanki rumu (lub 3 łyżki śmietanki i łyżeczka ekstraktu rumowego)
- cukier kryształ do obtoczenia

Zmieszać wafle, cukier, $\frac{1}{2}$ szklanki posiekanych orzechów i kakao. Dodać syrop glukozowy i rum. Starannie wymieszać. Formować kulki o średnicy ok. 2,5 cm. Jedną połowę obtoczyć w cukrze, drugą w pozostałej części orzechów. Nie piec.

Porcja na mniej więcej 35 sztuk.

Orzechowiec

- 3¹/₂ szklanki mąki
- 220 g solonego masła, o temperaturze pokojowej
- 3 szklanki cukru
- 6 dużych jaj
- szklanka tłustej bitej śmietany
- 3 szklanki posiekanych pekanów
- łyżeczka ekstraktu waniliowego • łyżeczka ekstraktu cytrynowego

Nagrzać piekarnik do temperatury 160 stopni.

Natłuścić porządnie formę do pieczenia bab, posypać lekko mąką.

na bok. Utrzeć razem masło i cukier do uzyskania lekkiej, puszystej konsystencji. Wbijać po jednym jajka, mieszając tak długo, aż każde połączy się z masą. Dodać 1 szklankę mąki i ¹/₂ szklanki bitej śmietany, potem jeszcze 1 szklankę mąki i ¹/₂ szklanki śmietany, a na koniec jeszcze jedną szklankę mąki. Obtoczyć orzechy w pozostałej ¹/₂ szklanki mąki, a potem ostrożnie wrzucić je do ciasta. Dodać aromaty waniliowy i cytrynowy.

Przelać ciasto do formy, wyrównać powierzchnię, a następnie uderzyć spodem formy o brzeg blatu, żeby pozbyć się bąbelków powietrza. Ustawić na środkowej półce piekarnika i piec przez godzinę i 15 minut albo dopóki wierzch ciasta nie zbrązowieje, a brzegi nie zaczną odstawać od formy (bardzo ważne). Po wyjęciu z piekarnika odczekać 10 minut, a następnie odwrócić i wyłożyć na talerz. Nie przykrywać, dopóki ciasto nie ostygnie na tyle, by można je było dotknąć gołą ręką.

Potrawka z jarmużu

- 2 główki jarmużu (liście skurczą się podczas gotowania)
- 100 g słoniny w paskach
- 0,7-1 l bulionu z kury
- 3 szklanki zimnej wody
- łyżeczka cukru
- 1/2 suszonej ostrej papryczki
- łyżeczka octu winnego
- sól i pieprz do smaku

Przepłukać warzywa dwa lub trzy razy, żeby usunąć piasek. Odciąć zdrewniały koniec łodygi, liście porwać palcami na kawałki albo posiekać. W tym samym czasie podsmażyć plastry słoniny do zbrązowienia albo podgrzać w mikrofalówce ok. 3-4 minut. Następnie osaczyć je z tłuszczu na papierowym ręczniku i wrzucić razem z warzywami do garnka, zalać bulionem i wodą. Dodać cukier, papryczkę, ocet, sól i pieprz do smaku. Gotować w 5, 5-6-litrowym garnku około godziny (w szybkowarze – 25 minut).

Potrawka może być przygotowana na dzień-dwa wcześniej i podgrzana przed samym podaniem.

Sos

- szklanka posiekanej łagodnej cebuli
- zielona słodka papryka, pokrojona w kostkę
- szklanka octu winnego
- 4 posiekane krążki ostrej papryki

Wymieszać razem wszystkie składniki. Nie podgrzewać, warzywa powinny być jędrne. Sos można przygotować dzień wcześniej i przechować w lodówce w szczelnie zamkniętym pojemniku. Pycha!

Porcja dla 6-8 osób.

Podziękowania

Książka ta zawdzięcza swoje powstanie energii oraz niegasnącemu entuzjizmowi wielu osób, którym chciałabym niniejszym podziękować. Po pierwsze mam ogromny dług wdzięczności wobec Buzzy'ego Portera, który namówił mnie do spisania tej historii, oraz wobec pracowników South Carolina Historical Society, którzy udostępnili mi stare zdjęcia Charlestonu. Podziękowania należą się również Carrie Feron, mojej wspaniałej redaktorce, najbardziej chyba czarującemu Jankesowi, jakiego było mi dane poznać, oczywiście jeśli nie liczyć Larry'ego Kirshbauma, mojego fantastycznego agenta, a przy tym prawdziwego geniusza. Serdeczne dzięki dla Was obojga.

Na szczególne wyrazy uznania zasługują również ludzie z zespołu wydawnictwa William Morrow: Jane Friedman, Michael Morrison, Lisa Gallagher, Virginia Stanley, Carla Parker, Carl Lennertz, Michael Morris, Michael Spradlin, Brian Grogan, Michael Brennan, Rhonda Rose, Donna Waitkus, Dale Schmidt, Liate Stehlik, Adrienne DiPietro, Richard Aquan, Tom Egner, Barbara Levine, Rick Harris, Ana Maria Allessi, Debbie Stier, Ben Bruton, Lynn Grady, Tavia Kowalchuk, no i przede wszystkim Tessa Woodward.

Dziękuję także Debbie Zammit, Ann Del Mastro i Kevinowi Sherry'emu za ich wytrwałość i przyjaźń.

Szczególnie ciepłe słowa chciałabym skierować do Petera, Williama i Victorii. Oraz do rzesz księgarzy i czytelników na całym świecie – na te święta życzę Wam zdrowia i spokoju. Ze szczerego serca dziękuję Wam za Wasze wsparcie. Wesołych świąt i jeszcze raz wielkie dzięki!